Zbiór powieści

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom pięćdziesiąty.

ŻACY KRAKOWSCY

w r. 1549.

PROSTA KRONIKA SPISANA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzane i poprawione przez Autora.

LWÓW.
W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha l. 10.
1873.

WARSZAWA
W księgarni Michała Glücksberga.

BERKELEY
LIBRARY
UNIVERSITY OF
CALIFORNIA

U.C. BERKELEY LIBRARIES
C095902703

Nakładem Rogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

I.

Bitwa na ulicy.

Było to roku 1549.

Mężczyzna średniego wieku, ogorzałej twarzy, pospolitych i małoznaczących rysów, szedł ulicą mimo kościoła i bursy wszystkich Świętych w Krakowie. Ubranie jego składało się z kubraka ciemnego podpasanego skórzanym pasem spiętym na błyszczącą klamrę, butów czarnych długich, z których buchaste wywijały się szarawary, i czapki dziwacznego kształtu, z wytartą opuszką. Wiódł on pod rękę kobietę słusznego wzrostu, dobrej tuszy, niegdyś jak widać było z rysów twarzy piękną; ale wdzięki jej teraz już przygasały, lica nabrały barwy jesiennej żółtej, oczy straciły blask, usta z lekka siniały, czoło marszczyło się, policzki tylko zarumienione nieco były, nie rumieńcem młodości i życia, ale czerwonością chorobliwą. — Ta kobieta była to sławna dawniej gamratka krakowska, pani Strelimussa. Strój jej nie różnił się od pospolitego stroju wszystkich mieszczek krakowskich, chyba niezwykłem pomięszaniem kolorów jasnych i wykwintnością na dzień powszedny nie zwyczajną u innych.

Para ta szła samym środkiem ulicy śmiało i bezczelnie, snać pan Tomasz nie miarkował co czynił, albo bardzo był zuchwały, że się tak puszczał dniem jeszcze z tak znajomą kobietą mimo szkoły i bursy, której mieszkańce najsrożej zwykli byli podobnego rodzaju niewiasty prześladować.

Zbliżali się ku bursie; przewodnik nie usunął się w bok, nie zwolnił kroku, nie spuścił głowy, ale kobieta ujrzawszy liczny tłum przed bursą i szkołą właśnie wychodzących żaków, targnęła go. On nie zważał pospieszając. Żacy poczęli głośno i wrzaskliwie swawole sobie właściwe, rozsypali się po ulicy, jęli jedni drugich gonić, ciskać na się, krzyczeć i jak konie młode, tylko co ze stajni na swobodzie brykać.

Wiedząc z doświadczenia, że młodzież ilekroć się z nią na swe nieszczęście w ulicy spotkała, nie przepuściła jej nigdy bez urągań i pocisków, Strelimussa niespokojna, zwróciła się do pana Tomasza i ozwała się:

— Panie Tomaszu, mimo iść żadną miarą nie można, wróćmy się i przejdźmy inną uliczką, tyłami. Widzisz ten tłum żaków — oni nas — błotem zarzucą.

Ale pan Tomasz nie chciał w oczach kobiety za tchórza uchodzić a żaków nie miał za Boże stworzenie i myślał, że się im jedną ręką opędzi, to też idąc dalej odpowiedział:

— Oho! oho! cóż to sobie myślicie? albo to mnie straszna ta hołota, te urwisy, żebraki, b....., żeby ich dwa razy tyle było co jest? Śmiało moja panno pókiś ze mną; zuch to będzie, kto z nich nas choć słówkiem zaczepi! Ho! ho! mrówki to, które podeptałbym jak... Żeby ich nie dwa, czterdzieści razy tyle było co jest, pewnie się nie wrócę. Tirelire jak

spiewają we francuskiej ziemi — Ton! ton! śmiało się tylko ujmij za mnie i oczu tak nie spuszczaj! tfu! nigdym się nie spodziewał, żebyś ty otarłszy się między ludźmi przez lat tyle jeszcze się wstydzić i kraśnieć umiała!

Tak dodając odwagi drżącej towarzyszce swojej śmiało się sam zbliżał ku tłumom studentów, mierzył ich pogardliwie oczyma, a niby nie chcący języka ku nim wystawiał.

Lecz zaledwie podeszli tak blisko, że młodzież rozpoznać mogła dokładnie znaną całemu miastu Strelimussę, śmiechy, krzyki, świsty, wrzaski coraz dziwniejsze, głośniejsze, straszniejsze rozległy się długo okropnie po ulicy. Kobieta chwyciła silnie rękę Tomasza i niespokojnie zawołała, zwracając go i targając:

— Wróćmy się, wróćmy, na Boga, wróćmy się panie Tomaszu, ja tego nie wytrzymam!

— A patrzcie no patrzcie — ozwały się głosy z tłumu, patrzcie jak ta koszlawa cnota uwiesiła mu się na ręku. — Szubienicznik jakiś, heretyk, ha! ha! hu! hu! błotem na nich! — Jak śmieli iść tak koło szkoły! koło nas! — koło kościoła! — jeszcze się dmie łotr jakby siedział na tronie, błotem na nich! hu! hu! błotem na nich!

Za temi słowy nastąpiły plugawsze jeszcze i kilka garści błota przylgnęło na sukni Strelimussy i jej towarzysza. Pan Tomasz podniósł natychmiast głos i niezważając na prośby kobiety, aby milczał, szedł prędzej, stanął nagle nieporuszony i otaczających go łajać zaczął.

— Łajdaki! obszarpańce! — — Cicho! bo was nauczę rozumu! A do szkoły błazny, a do książki gołowąsy!

— Ha! ha! hu! hu! krzyki tylko i łajania zawrzały w tłumie i razem potężny kawał błota zasłonił oczy śmiałemu przewodnikowi. Strelimussa blada, drżąca, wylękła, krzyczała na niego, prosiła aby szedł i szedł prędko, ciągnęła go za sobą, szarpała za ręce — ale napróżno. Pan Tomasz nie uważał na to i stał jak kamień wrosły nogami w ziemię, rozgniewany, rozjuszony, wołając ciągle — ja was nauczę rozumu, ja was nauczę!

— Chodźmy na miłość Bożą — wołała Strelimussa oni nas zabiją!

— Nie bój się przy mnie niczego! krzyczał Tomasz, muszę ich wyłajać. — Łotry! odważyliście się błotem ciskać, czekajcie! ja was nauczę! Jestem sługa siostrzeńca księdza kanonika, słyszycie księdza kanonika! — I wrzeszczał próżno, nie zważając jak go drżąca i przelękniona Strelimussa ciągle bezskutecznie szarpała; a coraz nowe wrzaski, przekleństwa, urągania, śmiechy, zagłuszały go szumiąc bezprzestannie w około.

— Piękna para! śliczna para! — wołali żacy, potańcujcież nam trochę! tu w środku na ulicy! hu! ha! — Nuże patronko niecnot całego miasta! i ty drągalu itd. Ruszajcież się piękne małżeństwo! o! hu! Któren-że to dzień ślub wam dawał? ha! ha! Śliczną masz żonkę panie wąsaty niedźwiedziu! Wdowę po połowie świata! Tańcujcież nam! itd. itd.

Potem gęściejszy coraz sypnął się zewsząd grad kamieni, piasku, błota, trzasek, śmiecia, wody tak żwawo, tak niespodzianie i tak trafnie wymierzony, że w momencie suknie kobiety i jej zuchwałego przewodnika okryte niemi z góry do dołu zostały. Strelimussa drżąca z gniewu i bojaźni, klnąc i chcąc uciekać,

napróżno usiłowała wyrwać się panu Tomaszowi i umknąć, on trzymał ją silnie za rękę, stał na miejscu i miotał wszystkie jakie umiał przekleństwa na studentów, którzy wśród śmiechów i krzyków własnych, nie słyszeli nawet jego głosu. Co chwila tłumiły jego słowa kawały błota lgnące na oczach i ustach, na skroni i policzkach; a każde trafne uderzenie witane było od tłumu głośnemi oklaskami i pochwałami. Celowali wszyscy; tryumfował kto trafił, a Tomasz nieporuszony; kiedy nareszcie pomiarkował, że wypadało uciekać, bo nic poradzić nie mógł, ujrzał razem, że z tyłu i z przodu i z boku tłumy młodzieży zastępowały mu drogę. Godne było litości położenie ich, gdyż zapóźno opatrzywszy się, cofnąć się już nie mogli.

Nie licząc słów rozmaitych, które na napastowanych nie wielkie musiały robić wrażenie, błoto i piasek, któremi je obrzucano, liczne kułaki i szturchańce od bliższych, męczyły nieszczęśliwych. Tomasz nawet z gróźb i łajania przeszedł do krzyku w litość i pomoc. Liczny tłum rozmaitego stanu osób zwabiony do okien i drzwi śmiechami i okrzykami zgromadzonych, przypatrywał się i powiększał także ile mógł wzrastający hałas i wrzawę. Mieszkańcy wychodzili z domów, przechodnie stawali i patrzyli na tę parę oblężoną od dzieci i do niepoznania obrzuconą błotem i piaskiem. Ciżba i krzyki rosły co chwila, a Tomasz za późno zdawszy się na prośby Strelimussy aby uciekać, nie mógł już nic poradzić, bo wszędzie gdzie się obrócił, spotykał uderzenia, kamienie i błoto którego już gruba warstwa czerniała na tego twarzy i sukni. Trzeba się jednak było ratować jakimkolwiek sposobem, bo znieść dłużej nie mogli.

Nie daleko miejsca potyczki, ba naprzeciw prawie, stała plebanja, a w niej mieszkał pralat, zacny ksiądz Jędrzej Czarnkowski. Ze drzwi tego domu zwabieni ciekawością, wyszli także słudzy jego. Póki zmierzch nie dozwolił im rozpoznawać w pośrodku znajdujących się osób, śmieli się razem z innemi; lecz gdy jeden z nich w chwilowem uciszeniu się rozpoznał głos Strelimussy, zastanowił się i namarszczył.

— Hola! zawołał do swoich, jakem zacek bracie Gierwazy, to nasza sąsiadka Strelimussa w tych opałach.

— E, kto? zapytał drugi mały przez nos, zataczając się i przymykając oczy.

— Jakbyś nie znał! przysłuchajno sie jeno, a wnet głos rozpoznasz, ta to niedaleka ztąd od pani Julianny tłusta, biała, co ją zwą Strelimussą. Ta hołota, mazgaje, bursarze te, co nam okna wybijają, śmią jeszcze białogłowy bezbronne napastować na ulicy! Już to nie pierwszy raz.

— Tak! nie pierwszy raz! — napastować na ulicy! — odezwał się drugi pijany, ho! napastować!

— Nauczmyż rozumu tych urwipołciów!

— Bardzo dobrze!

— Kijów! — kijów, — a ty weź swoje zardzewiałe szablisko!

— Biegaj waszeć — stoją maczugi dwie żelazem kute, co ja z niemi chodzę, kiedy mnie gdzie ksiądz nocą posyła, jest tam i dwie pono szable, tylko jedna bez ręki, potrzaskamy im łby uczciwie!

— Potrzaskamy, uczciwie! zawołali wszyscy, i dorwawszy się kijów i szabel, zagrzani trunkiem, poduszczając się wzajemnie, rzucili się na tłum studentów

pastwiący się dotąd nad bezbronną parą.

Ukazanie się dwóch zbrojnych w ogromne maczugi i szable barczystych i silnych chłopów, dodało odwagi panu Tomaszowi, który puściwszy Strelimussę razem z niemi wpadł na bursarzy. Inni widzowie trzymający w duchu stronę oblężonych, którzy sami nie śmieli się na tłum posunąć, przy tej pomocy rzucili się z czem kto miał w ręku na studentów. Walka była nierówna, bo choć liczba bursarzy przewyższyła kilka razy napastników, niemając jednak żadnej broni, zaraz uciekać, kryć się po domach i rozbiegać zaczęli. — Nie zdołali jednakże umknąć wszyscy przed sługami ks. Czarnkowskiego, którzy znienacka ich napadli i bić bez miłosierdzia zaczęli. Pierwszy który tę wyprawę doradził, posunąwszy się naprzód, machając szablą na prawo i lewo kilku poranił; drugi niemniej narobiwszy ran i guzów ścieląc sobie pod nogi studentów, zajadły szedł dalej nie spotykając żadnego oporu.

Tomasz także mszcząc się za siebie i towarzyszkę swoją, dorwawszy się kija z gniewem bez litości gonił za studentami. Nie było się jednak czem nasycić, bo wkrótce prócz kilku rannych i zabitych leżących na placu nikt nie pozostał. Strelimussa nakrzyczawszy się przez cały czas walki, porwana tłumem ledwie się oswobodziła z zamięszania, klnąc świat cały powróciła do domu opłakiwać utratę sukni i całego ubioru. —

Nim się jeszcze czas mieli rozprószyć studenci, w oknie plebanii, a potem we drzwiach pokazała się postać jakaś ubrana w suknie księże, którą wszyscy za samego księdza plebana wzięli. Ta zachęcać się zdawała do boju krzykami i poruszaniem kija któren w ręku trzymała. Okoliczność ta podwoiła jeszcze zapał sług

do boju, sądzili bowiem, że sam pan ich rozkazuje bić bursarzy i nieprzepuszczać im. Robili więc co tylko mogli z siebie i póki tylko było kogo bić, bili bez miłosierdzia.

II.

Pobojowisko.

Stróż nocny szedł, obwołując północ.

Ulice stały ciche, księżyc świecił, a wiatr jesienny coraz to na niego chmurkę napędzał, to odganiał chmury, jakby żartował. Prócz jednostajnej ochrypłego stróża piosenki, prócz kogucich głosów, które jak odzywy strażników odpowiadały sobie z różnych stron miasta, wszystko milczało. — Bo dawniej każdy kładł się spać ze zmrokiem prawie, a w najszumniejszych nawet zabawach rzadko odważano się cały wieczór przepędzać — dzień był na to. *) A jeśli zdarzyła się gdzie przedłużona biesiada, brali ją zaraz księża za tekst do kazań, narzekając na zepsucie obyczajów, utratę czasu i zdrowia. Milczało więc miasto całe, a w obrębie Krakowa stróże tylko i nieliczni może znagleni pilną potrzebą wlekli się przechodnie, złodzieje i rozbójnicy, patrząc kędy na mniej ludne domy napaść było można bezpiecznie. Stróż prześpiewał swoją jednostajną piosn-

*) Nawet uchwały miejskie (Wielkierze) broniły długich nocnych zabaw mieszczanom.

kę i znów wszystko ucichło w mieście jakby w niem żywej duszy nie było. Na murach pokazały się cienie osób przemykających się ostrożnie. Sykania i ciche kroki słyszeć się dały, z rozmaitych stron schodzić się zaczęły postacie, których długie cienie migały na murach i nikły. W parę chwil zgromadziło się kilkanaście osób w cichości na ulicy i zbliżyło ku murowi gdzie jakaś kupa czerniała.

— Staś z Maćkiem niech wezmą tego pierwszego na ramiona, odezwał się jeden — przyłóżcie mu rękę do serca czy nie bije.

— Trup zimny jak lód, odpowiedział drugi kładnąc na nim rękę. Ci co byli ranieni pouciekali, a ci co tu zostali już nie wstaną. W milczeniu odłożono na bok trupa. Kolejno obejrzeli wszystkich, żaden nie dawał znaku życia. Ci którzy na to patrzali, choć starsi, nie przywykli jednak do podobnych widoków, z ciekawością i przestrachem dziecinnym, w milczeniu oglądając się w około, dotykali trupów usuwając się przerażeni samą myślą, żeby w nocy nagle odżyć mieli, szeptali pacierze i żegnali się często. — Czasem odzywało się słów kilka, potem następowało milczenie przerywane tylko szelestem sukni i stąpaniem cichem studentów.

— A gdzieście rannych zanieśli? odezwał się jeden.

— Dwóch leży u Bartłomieja Soroki, odpowiedział drugi, oba mocno uderzeni. — Starszy dostał raz okropny od prawego ucha przez oko i czoło, drugi padając gdzieś nogę wywichnął. Nie ujdzie to pobicie łotrom bezkarnie.

— Bezkarnie? przerwał jeden — a cóż im poradzisz? Co poradzą ubodzy żebracy jak my przeciw bogatemu księdzu?

— A król od czego? na toż on to siedzi na wysokim starym zamku aby sprawiedliwość wymierzył.

— Nie nam do niego przystęp, nie nam! nie nam do jego ucha skargi posyłać! pójdą bogatsi i znaczniejsi, pójdą i przełożą mu wszystko na naszą krzywdę i będziem z białych i niewinnych, czarni jako kruki.

— Nie! nie! — wiemy że król sprawiedliwy, pójdziem do niego hurmem wszyscy, zaniesiemy mu łzy i ucisk nasz, trupy naszych braci pobitych dla jednej nierządnicy i skargi na księdza.

— Widzieliśmy wszyscy jak wyszedłszy z domu i stojąc na progu, machał pleban kijem i wołał na sług aby nas bili.

..... król da nam sprawiedliwość, pójdziem do niego jak świt.

Pójdziem, pójdziem do króla!

— I cóż król księdzu zrobi? odezwał się jeden, a zaliż niewiecie, że nasz król siedzi tylko jak malowane cacko i żadnej nie ma mocy, a co mu każą i doradzą to robi? Zejdą się bracia księża na sąd, kaptury i infuły, a my pójdziem bez sprawiedliwości z naszemi trupami.

— Nie — nie — przerwało kilku, zato żeśmy ubodzy, czyż niesprawiedliwość cierpieć mamy? Czy nasza nędza większą srogość, nie politowanie dla nas zyszcze? Na toż mają złoto i skarby bogaci aby niemi biednych i ubogich uciskali?!

— Nie wszędzie tak jak u nas, ozwał się inny, są ziemie gdzie insze niebo i sprawiedliwość; jeśli tu tylko łzy sierot wyciskać będą i serce nam wyjadać, pójdziem ztąd daleko.

— Co nas tu trzyma? czy bracia, krewni, czy rodzi-

ce, czy majątki, czy szczęście? Sieroty, nie znamy domu i kąta, potraciliśmy swoich i nie pamiętamy ich nawet, żaden matki nie widział od czasu jak go nieszczęśliwego porodziła.

— Pójdziem naprzód do króla, do królowej, padniem do nóg jej i jemu, a jeśli łzy nie pomogą, krzyczeć będziem pod ich drzwiami jak psy obite; a jeśli ich uszy i serca otwarte tylko dla szkarłatów i złota, pójdziem z polskiej ziemi, pójdziem do Moskwy, na Ruś, gdzie lud prosty, litościwy i dobry, pójdziem do Niemiec, do Włoch, gdzie nas oczy poniosą, szukać lepszego kąta i sprawiedliwości.

— Bóg nad nami — może też nas bieda z rodzinnego nie wygoni kąta, może srom będzie sędziom w oczach całego świata potępić niewinnych, a winnego, że możny, oswobodzić. Będzie całe miasto widzieć sprawiedliwość, jak zabójstwo i mordy widziało.

Jeden tymczasem szukając po kieszeniach trupa, wyjął jakiś papier i odezwał się płaczliwym głosem:

— Ot jeszcze papier, na którym myśmy wczoraj razem pisali pensum!

Stanął i zamyślił się głęboko.

— Nie śmieli psy trupów obdzierać, rzekł drugi.

— Cóżby znaleźli przy ubogim sierocie? dodał trzeci.

— Torbę chyba, z którą chodził żebrać pożywienia, garnek, kałamarz i szmat podartej książki darowanej gdzie od dobrej jakiej duszy. Któż z nas ma co więcej? kto z nas widział kiedy jaki pieniądz prócz szelągów jałmużny?

Wszyscy westchnęli smutnie i poszli para za parą niosąc trupy na ramionach przez ulice. A w mieście panowało milczenie i stróż nocny ochrypłym głosem

obwoływał godzinę po północy. koguty piały. księżyc chował się, wiatr wiał zimny.

Poszli i położyli trupy pod kruchtą kościelną i obwinąwszy się w co kto miał, nakłonili głowy do chwilowego spoczynku przy pobitych i spoczywających na wieki braciach swoich. A nie jeden z przestrachu zasnąć nie mogąc spoglądał na trupy, których białe twarze świeciły wśród ciemności, i przelatywał myślą przeszłe życie swoje i przyszłość niepewną.

III.

Ranek u króla.

Sprawiedliwości!

Zaledwie brzask nad miastem zaświtał i czujne mieszczki krzycząc pobudziły się do dziennej pracy, jeszcze spał król na zamku i panowie po gospodach i pałacach swoich, a już szmer głuchy około szkoły i bursy W. W. Świętych pobudził okolicznych mieszkańców.

Studenci jak się tylko między niemi wieść o zabójstwie rozeszła, wszyscy hurmem w znacznej liczbie ze wszystkich burs i szkół zbiegali się w to miejsce, krzycząc na gwałt i odgrażając się głośno na zabójców. Co chwila rósł ten tłum, i zadziwieni mieszkańcy z przestrachem poglądali na kupy różnego wieku szkolnej młodzieży cisnące się tłumnie po ulicach.

Lecz nie tylko ubodzy bursarze, ale i możniejszych dzieci, widząc w tem zabójstwie stanowi swemu wyrządzoną obelgę, z dziecinną zapalczywością poszli łączyć się z bursarzami. — Długo naradziwszy się z sobą, gdy ujrzeli podchodzące w górę słońce, ruszyli się z szkolnego budynku wszyscy razem na zamek do króla.

Król ledwie się przebudził i kilku dygnitarzy weszło na zamek, kiedy straż usłyszała krzyki głośne powtarzane ciągle i zbliżające się coraz, a potem ujrzała prosto do zamku biegący tłum studentów z hałasem i wrzawą nadzwyczajną.

U samej bramy, kiedy ich straż wpuszczać nie chciała, nieświadomi obyczajów dworskich a żalem przejęci, przelamali straże i biegli prosto nie umilknąwszy na chwilę z krzykiem i narzekaniem.

Jak tylko doszły uszów królewskich hałasy, niewierząc prawie sobie zalękł się Zygmunt August i przyszedł mu na pamięć sejm burzliwy przeniesiony niedawno; nie umiał sobie wytłumaczyć zgiełku tak niezwyczajnego na podwórcu o tak rannej jeszcze porze.

Przerażony porwał się z siedzenia, na którem w pobliżu mieszkania królowej Barbary, w oddalonej zamku komnacie, spoczywał i zbliżył się do okna. — Lecz nic tędy nie zobaczył, wychodziło bowiem na drugą stronę dziedzińca. Niespokojny wysłał zaraz dwóch dworzan swoich, aby się natychmiast o przyczynie tego zamięszania i wrzawy dowiedzieli.

Tymczasem umysł jego poddawał mu najsmutniejsze domysły, a roztwarta księga historji rzymskiej za Cezarów, którą czytał dni przeszłych, przypominała mu liczne zaburzenia bezrozumnego pospólstwa, które i jemu grozić mogły tem bardziej, im mniejsza była jego władza i łacniej mogła dać pochop do domagania się od niego najdziwniejszych rzeczy.

Cieszyła go przybiegłszy królowa Barbara, sama niemniej przelękła, gdy wtem puknięto do drzwi komnaty i Mikołaj Grabia podkanclerzy ze Stanisławem Maciejowskim weszli do króla.

— Cóż to jest Mości panowie? zawołał król porywając się żywo. Jest-żem już tak niski w oczach waszych, że mnie lud z krzykiem karczemnym ma nachodzić od rana? Któż to go naprowadził na mnie?

Podkanclerzy Grabia widząc gniew, oburzenie i ciekawość malujące się w czarnych oczach króla, skłonił się powoli i dał znak tajemnie Maciejowskiemu, aby mu mówić pozwolił.

— Nie dziw Najjaśniejszy Panie, rzekł, że niezwyczajnością tego postępku zdziwiony, na pierwsze osoby, które przed tobą stają, składasz jego winę. Lecz my w tem nic nie mamy.

— Dość, dość tych słów, krzyknął król, bez długich omówień, panie Mikołaju, *ad rem*, *ad rem*, co to za tumulty?

— Wczoraj, Najjaśniejszy Panie —

— Ale Mospanie ja się pytam o to co jest dziś, przerwał król stukając pięścią o stół.

— Pozwól Najjaśniejszy Panie, abyśmy od wczorajszego dnia zaczęli, odezwał się Maciejowski, gdyż dzisiejszy ten tumult, niezwykły u Twego zamku, z dnia wczorajszego ma przyczynę.

— No! *ad rem*, panie Grabia — proszęż mi odpowiedzieć co to jest? Kto to przyszedł? czego chcą?

— Przyszli studenci Najjaśniejszy Panie, skarzyć się, że wczoraj słudzy, bo jak oni powiadają z rozkazu ks. Czarnkowskiego, kilku z nich zabili, lecz —

— Ks. Czarnkowskiego! Jezu Chryste panie! cóż ten ksiądz miał do studentów? Panie Maciejowski opowiedz mi to jasno. Słyszę jak ta szalona młodzież wrzeszczy na dziedzińcu — czy to tu gospoda? czy ulica? Panie podkanclerzy, niech ich straż precz odpędzi lub — cze-

kaj — mów-że panie Maciejowski.

— Wczoraj, zaczął Maciejowski, gdy pod wieczór trafunkiem prowadzono komuś kobietę.

— *Bone deus!* krzyknął niecierpliwie król, więc to rzecz poszła o jakąś Helenę! myślaż oni że mój zamek Troja? zuchwalcy!

— Gdy prowadzono komuś kobietę, od Julianny jakiejś mimo owego domu, który do W. W. Świętych należy, szkolna młodzież z owego pobudynku szkoły, która o proszonym chlebie żywności szukać zwykła, poczęła z tego urągać i ową niewstydnicę nagabować.

— I cóż? mówże prędzej panie Maciejowski, przerwał król znowu, bo oni mi tymczasem zamek do góry nogami przewrócą.

— Niewstydnica ta oburzywszy się na lżenie i potwarze, zwłaszcza że jej to często owi studenci wyrządzali, uskarzać się miała, co usłyszawszy słudzy księdza Jędrzeja Czarnkowskiego, który jak W. K. Mość wiesz jest proboszczem tego domku i podle ma mieszkanie, wzruszeni na żale bezwstydnicy porwali się do broni, a bezbronnych studentów napośród szkoły uciekających dogoniwszy jednych pozabijali...

— Zuchwalcy! to im nie ujdzie — zawołał król, lecz spiesz się z opowiadaniem panie Maciejowski, bo ta gawiedź widzę myśli że u króla jak w szkole krzyczeć można, trzeba ich *mores* nauczyć.

— Drugich Najjaśniejszy Panie poranionych prawie bez duszy zostawili. Dziś rano —

— No cóż dziś rano? wiem, rzekł król prędko, że przyszli tu do mnie i wrzeszczą, jakby byli na polu, trzeba ich odprawić, nie chcę ani wiedzieć, ani słuchać, bo nie umieli nawet przyjść do mnie.

— Dziś rano, dodał Maciejowski powolnie, gdy się to rozglosiło, zbiegli się do domku owego ze szkół i *classes* wszyscy studenci uczynek niegodziwy obwołując i razem się tu na zamek garną, ale już nie sług, tylko samego ks. Czarnkowskiego o zabójstwo obwiniają. *)

— Więc idźcie wnet ku nim Waszmość odemnie, rzekł król, prędko biorąc za rękę Maciejowskiego, i prowadząc go ku drzwiom, idźcie i powiedzcie im odemnie, że im mam za złe, że na mnie naszli z krzykiem i hałasem jaki bywa między ciżbą po ulicach w pijanem pospólstwie.

— Powiem —

— Słuchaj-że Waszmość, powiesz im, że w niedługiem panowaniu mojem jeszczem się nigdy nie wzbraniał przypuścić kogokolwiek by najnędzniejszego do obliczności mojej. Powiedzcie im, że wszystko otrzymają, skoro się tego z przyzwoitą skromnością domagać będą; powiedzcie im że zapomnieli, iż królem jestem; powiedzcie im że na bezprawia sprawiedliwość jest zawsze i sądy.

Już posłannicy odeszli, a król długo jeszcze przezedrzwi powtarzał im swoje napominania, dopóki mu z oczu nie znikli.

Mikołaj Grabia podkanclerzy z Stanisławem Maciejowskim szybko przeszedłszy szereg sal i komnat, za zbliżeniem się do pokojów, z których wyjścia były na podwórzec zamkowy, usłyszeli z przestrachem coraz powiększający się wrzask i narzekania.

Tłum studentów stał podedrzwiami posłuchalnej sali

*) To co mówi Maciejowski, słowo w słowo z Orzechowskiego kroniki.

stukając i dobijając się napróżno do jej drzwi zamkniętych, dolatywały groźne, żartobliwe niewyrozumiałe dźwięki uwinięte w gwar głuchy i szum podobny biegącej wodzie. Odźwierny królewski szemrząc i przeklinając otworzył podwoje posłańcom, i studenci ujrzeli nagle przed sobą dwóch dygnitarzy. Grabia, niższy wzrostem i słabego zdrowia, styrawszy je na usługach, niemogąc się wywiązać z poselstwa, które mocnych piersi potrzebowało, zdał na Maciejowskiego czerstwego i zdrowego obowiązek przemówienia do tłumu, który szemrał coraz ciszej i cisnął się poufało ku niemu. Gdy już głos podnieść się zabierał, wystąpił jeden przystojniej odziany z tłumu ku niemu.

Był to niski lecz krzepki młodzieniec z czarnemi oczyma a wzrokiem silnym, śmiałym i piorunującym, którego widok osób tak dalece wyższych urodzeniem i stanem od niego, do których nigdy jeszcze nie przemawiał, kłaniając im się zdala nisko na ulicy — nic a nic nie zmięszał. Ten, nim Maciejowski usta otworzył, z dumą i zuchwałą postawą postąpił ku niemu i rzekł:

— Przyśliśmy do króla po sprawiedliwość, dla czego próżno przededrzwiami stojemy?

— Przecież — przerwał silnym głosem nakazującym tłumowi przychodniów, przecież — zawołał Maciejowski, nigdy jej król i pan nasz nikomu nie odmówił. Lecz Waszmość panowie młodzi nie wiecie, że do króla tak ludzie nie chodzą jakeście Waszmość przyszli z hałasem i wrzawą. *Est modus in rebus.* Wszak rozumiecie żaki łacinę?

Weszliście tu na zamek jako do rościeżem stojącej gospody, ba i tam by gospodarz gości tak wrzaskliwych

odpędził. Król zaś daleki od tego, aby sprawiedliwości odmawiał, chętnie ją każdemu wydzieli, ale po nią z krzykiem i wrzaskiem ludzie nie przychodzą, tylko skromnie i z uszanowaniem. Jest sąd i sędziowie naprzód.

— Nie ma sądu i sprawiedliwości dla biednych, przerwał mowę zuchwale bursista, nie ma nam sądu i króla. Ani ogromność przestępstwa, ani krew pobitych, ani łzy i krzyki nasze, które boleść nie zuchwalstwo wycisnęło — nie przyniosło nam jej.

— Paulatim mój malcze, rzekł Grabia, dziwując się trochę dzikiej wymowie ubogiego mowcy, której mocy jesta i wyraz oczu dopomagał. — Król srodze na Waszmościów rozgniewany jest, żeście tu takiego wrzasku i przestrachu mu na jego zamku narobili, czego te mury pewnie od początku swego nie widziały.

— Mogę, rzekł Maciejowski, zaręczyć Waszmościom imieniem króla pana naszego, że słudzy ks. Czarnkowskiego ukarani zostaną, skoro sprawa jak się należy przed sąd się wytoczy.

— Słudzy!? zawołał student — słudzy księdza, a czemuż nie ksiądz? — dla tego może, że waszym i brata waszego przezacny panie jest przyjacielem, że jest możny i bogaty? — A przecież oto wszyscyśmy widzieli jak na sług wołał ażeby nas bito. Ksiądz Czarnkowski więcej winien niż słudzy, na niego to u króla krzyczym sprawiedliwości — ale przez mur wasz krzyki te nie dójdą, by był i sam zabójcą. Waszmość przyjaciela i towarzysza zasłonić potraficie.

— Żaku! — przerwał Maciejowski, zapominasz do kogo mówisz! Jestem jego przyjacielem i tego się nie powstydzę, by i przed obliczności świata całego; ale nigdym winnego płaszczem moim nie zakrył. Gdybyś

nie był mniejszy nad gniew mój, któregoś nie godzien, pokazałbym ci i nauczył jak masz sobie na przyszłość postępować.

Student odsunął się pół kroku zmarszczywszy brwi, a tłum cały zakrzyczał: — winien! winien ksiądz! — Wrzask ten rozbiegł się po salach zamkowych, powtórzył się i ustał.

— Cichoż Waszmość! krzyknął piorunującym głosem Maciejowski — nie będziecie przyjęci do króla, boście się tymi krzyki i najściem gwałtownem niegodnemi tego pokazali. — Idźcie tymczasem do sądu.

— W sądzie jak tu nas odepchną — przerwał mowca z tłumu — nie mamy czem zapłacić za sprawiedliwość, którą od was kupić potrzeba. Nie macie Boga w sercu i prywaty *) tylko słuchacie.

— Cicho i precz ztąd zuchwalcy! krzyknął Maciejowski powtórnie zaczerwieniony z gniewu, albo was ztąd straży z bronią w ręku odegnać każę. — Powtarzam abyście się w cichości do domów rozeszli a sprawiedliwość dana wam będzie, teraz zaś nie możecie widzieć króla — i niech to wam będzie nauką, abyście jak zapamiętały i rozpasany lud nie lecieli bez rozumu krzyczeć o sprawiedliwość i domagać się jej, gdy nikt jej odmawiać nie myśli.

Mowca tłumu zmarszczył czarne brwi swoje i chwilkę postawszy jeszcze, odezwał się zmierzywszy okiem dwóch posłańców i obracając się do swoich.

— Próżnośmy tu przyszli, nie ma dla nas króla, biedny nie dociśnie się do niego przez możnych, którzy w około straż trzymają, niedopuszczając do jego ucha

*) Własnego interesu. Stary wyraz.

i sprawiedliwości. Ksiądz Czarnkowski ubiegł nas pewien wygranej przy licznych koligacjach i plecach. Już i król ku nam zniechęcony, wysłał do nas takich, którzy chętnie o wszystkiem przed nim zamilczą, co ks. Czarnkowskiego obarczać może. — Lecz pomnijcie, jest Bóg który karze!

Idźmy ztąd, idźmy z naszą nędzą i łzami, nie ma króla i sądu dla biednych sierót!

— Ani waż się Waszmość, przerwał popędliwie Maciejowski, słów takich powtarzać w przytomności mojej. Powtarzam ci i wszystkim, że jedynie dla tego, iżeście tu bezładnie i krzykliwie jak gawiedź szynkowa naszli, król was widzieć nie chce i ku wam nie wychodzi. Ale jest sąd i sprawiedliwość, a narzekać na bezrząd i ucisk nie śmiejcie, dopókiście się nie przekonali, że wam sprawiedliwości odmawiają. Idźcie mówię do sądu, i w dziecinnej swojej zapamiętałości nie szermujcie *) słowami bez przekonania.

To powiedziawszy, obrócił się z miną srogą ku mowcy który stał w tłumie i nieulęknionem okiem poglądał także na niego.

— Jak się Waszmość zowiesz? zapytał Maciejowski

— Zowię się, odwracając się pogardliwie, rzekł student „nędzny sierota i żebrak.“

— Sszlachcic Waszmość jesteś?

— Tak dobry jak i wy panie Maciejowski, jeżeli nędza nie psuje szlachectwa. Toż samo nawet co wy noszę nazwisko, nie kryję go, ani się wstydzę, bom żadnej nie popełnił zbrodni. Jestem Lew Maciejowski Ciołek, jeżeli o tem wiedzieć chcecie.

*) Nie wojujcie. Stary wyraz.

— A wy, odezwał się do towarzyszów, coście tu próżną znęceni przyszli nadzieją — idźcie. Pójdziem w świat z Krakowa i szkół, odpycha nas król, swoi nas zabijają i pastwią się nad nami, urągając żalom nawet naszym — czegoż jeszcze czekać będziem?

Natychmiast w tłumie ozwały się przenikliwe, bolesne, krzykliwe głosy ze stron wszystkich gromady wyskakujące, która z lamentem i wrzaskiem jak przyszła, nazad z zamku wychodzić zaczęła rozsypując się po mieście z żalem i płaczem, narzekając przed mieszczany i wszystkiemi kogo na drodze spotkali na gwałt i niesprawiedliwość.

Zaledwie odeszli, a wrzaski ich jeszcze odzywały się zdaleka i dochodziły ucha mieszkańców królewskiego na Wawelu zamczyska, gdy dworzanin pokojowy J. K. Mości nadbiegł ku panu Grabi i Maciejowskiemu z rozkazem, ażeby do króla co najprędzej spieszyli.

Poszli.

Jeszcze pan podkanclerzy drzwi był nie uchylił od komnaty, w której król niespokojnie przechodził się wielkiemi kroki, a już August z pośpiechem u drzwi stanął i zapytał przybywających.

— Cożeście Waszmości z tą gawiedzią zrobili?

— Odprawiliśmy ją Najjaś. Panie, jakeśmy mogli najprędzej, odpowiedział Grabia. Chociaż nie mało było lamentów i niesłusznych narzekań na niesprawiedliwość i ucisk. Ba i nam Najjaś. Panie dostała się część tego.

— Niech to Waszmość nie boli, że nierozumne głowąsy ściśnione żalem mogli coś przegadać. By i na mnie co powiedzieli, nie rozgniewa mnie to, bo na nierozum się obruszać, jest to być samemu nierozumnym. Mu-

siał tam każdy coś przekroczyć, gdzie sam żal był przewodnikiem i języka panem. Lecz zapewniliście ich Waszmość, że sprawiedliwość dana będzie?

— Postokroć im to powtarzałem, rzekł Maciejowski, chociaż słuchać nie chcieli i wciąż bezustannie narzekali. Mądry by był kto by ich tam przekonał.

Król chodził i myślał, obrócił się potem i rzekł:

— Jesteście Waszmość pewni, że ks. Czarnkowski nie winien nic, a tylko go o to obwiniają za sługi?

— Ani chwili wątpić o tem nie można. Najjaś. Panie rzekł spiesznie Maciejowski, znasz W. K. Mość, znamy i my wszyscy ks. Czarnkowskiego z jak najlepszej strony. Daleki od tego aby miał się znęcać nad nędznemi, lub ujmować za nierządnicę, słynie pomiędzy stanu swego ludźmi jako najczystszych obyczajów i wielkiej nauki człowiek. W zacnym urodzony jest domu, wielkiego pokrewieństwa, łaskawy przytem i mądry, z bratem moim Samuelem i ze mną ścisłą połączony przyjaźnią.

— I dla tego to zapewne, rzekł król uśmiechając się, tak żarliwie go bronicie?

— Bynajmniej, odpowiedział trochę urażony Maciejowski — stanie on i sam z tłómaczeniem przed tron W. K. Mości i wiemy, znając go, że się niewinnym okaże.

— Daj Boże! rzekł król, boć trzeba nakoniec pokazać im, że u mnie zbrodnia, by i w szkarłacie chodziła czy w fioletach, nie ma przytułku i obrony. Surowością całą moją pokażę im, jak niesłusznie po mieście skargi na mnie roznoszą. Ale im tego nie daruję, dodał po chwili, że mnie tak naszli na zamku. Przykażcie Waszmość sądom, aby się rozeznaniem zajęły bez odwłoki,

wolą moją jest, aby tam najmniejszych nie spotkali trudności, które by mi pochop dać mogły do nowych narzekań.

Na Boga! jeśli cień winy się pokaże, choćby Crarnkowski był moim własnym bratem, chociaż go sądzić nie mam prawa jako duchownego, postaram się aby mu ten gwałt nad bezbronnymi nie uszedł bezkarnie. Nędza bowiem Mości panowie im większa i godniejsza politowania, tem większej odemnie wymaga pomocy — aby nie powiedziano było, że się u tego tronu sprawiedliwości złotem kupuje, lub koligacjami dostaje. Zdaję tymczasem na Waszmości panie Maciejowski, abyś tej sprawy pilnował i zaraz mi o dalszych jej doniósł postępach. Waszmość panie podkanclerzy oznajmijcie komu należy, że dla zdrowia i woli naszej posłuchanie dziś nikomu dane nie będzie.

IV.

Ksiądz Czarnkowski u biskupa Samuela.

Nie będziesz sądził, obu stron nie wysłuchawszy.
1. Przykazanie sędziów.

Już się dobrze ku południowi miało, gdy gmach, w którym się sądy marszałkowskie odbywały, zabrzmiał temi samemi krzyki, któremi przed chwilą zamek się królewski rozlegał.

Tłumy studentów opuściwszy szkoły, szły popierać sprawę zabitych towarzyszów swoich.

Na przodzie tego tłumu, który po większej części w obdartych łachmanach, lecz z dumą w sercu szedł ku domowi sądów, znajdował się Lew Maciejowski, który im także w niepomyślnej do zamku wyprawie przewodził. Za nim w czapkach i bez czapek, obuto i boso, w całych i poszarpanych sukniach, dzieci i wąsate drągale spieszyli z krzykiem towarzyszącym im wszędzie. W środku tego tłumu kilkunastu najsilniejszych niosło trupy pobitych studentów, pokrwawione i blade, a widok ten powiększał jeszcze co chwila i tak już do wysokiego stopnia podniecony żal ich i oburzenie.

Wszędzie tłum ciekawych napełniał okna i ulice,

użalając się nad losem uciśnionych. Cóż bowiem było dziwnego, że rozgłosiwszy tak nieszczęście swoje, znaleźli litość u wszystkich wyobrażających sobie, że ich niewinnie prześladowano?

Przed domem sądowym stał woźny z czapką na bakier, sparty na ogromnej lasce z miną pełną dumy, jaką zwykle przybierają ludzie, kiedy wyszedłszy z niczego obcują ciągle z dawniej równemi sobie, i widząc oczywistą wyższość swoją nad niemi, wyobrażają sobie, że tę wyższość i dumę wszędzie za sobą prowadzić powinni. — Przymiot ten wyłącznie prawie wchodzi do sumy tych, które należą do charakteru woźnego i odznaczają go od innych ludzi. Woźny krakowski był typem w swoim rodzaju. Stojąc przy naczyniu sprawiedliwości, z którego zaczerpnięte męty rozdawał pragnącej ciżbie, codziennie widząc jak mu się kłaniano i proszono go o to lub owo, stanowiąc nareszcie na swojem miejscu nieodbicie potrzebną figurę, nosił w duszy i na twarzy cechę możności i władzy. Zdawało by się, patrząc na jego brew zmarszczoną, na oczy tajemniczym jakimś jaśniejące blaskiem, i wargę niższą wysuniętą nieco, dopomagającą mu do nadania wyrazu ważności i dumy całej twarzy, że myślał najmniej o nowych prawach, nie o wypełnieniu nowych. Trzeba się było potem przypatrzeć, z jaką niedbałością, ciągłem mruczeniem i nieukontentowaniem odpowiadał na pytania; trzeba go było widzieć jak się obchodził z tymi, którzy choć o włos niżsi, lub tylko równi mu byli.

Przed nim to wytoczyła się najprzód sprawa o pobicie studentów; złożono w dowód trupy i świadków, i obwołano sprawcą i podbudzicielem samego ks. Czarnkowskiego. Długo i bardzo poważnie kiwał posiwiałą

głową woźny, nim się odważył tak znakomitego prałata obwołać sprawcą takiego gwałtu. Lecz zapłata, którą studenci ze wszystkich kieszeń gdzie kto miał po grosinie zebrali i usilne ich żądanie skruszyły go nareszcie.

Sprawa wpisana i obwołana została, lecz że sędziów nie było pod on czas w domu sądowym, nazajutrz dopiero mieli naznaczyć termin roztrząsania jej. Że zaś wedle ustaw w sprawie o mężobójstwo nakazowano ścisle *scrutinium*, stawienie świadków i przysięgi, a przez to przytomność obwinionego koniecznie była potrzebną, podjął się także woźny sam swoją osobą zanieść pozew ks. Czarnkowskiemu i wezwanie przed sąd. Wiadomo było jednakże, że duchowny świeckim sądem nie mógł być sądzony, i po uczynionem wyśledzeniu wypadło jeszcze złożyć sąd duchowny, na który wcześnie narzekali studenci, będąc przekonani, że spokrewniony i możny, znany wszystkim ks. Czarnkowski za niewinnego, choćby co i zawinił uznany zostanie.

Po dopełnieniu tego obrzędu, tłum który się był licznie zgromadził przed sąd, rozsypał się po mieście roznosząc z sobą narzekania i pogróżki. Dnia tego nie było o czem innem mowy, jedno o wczorajszych zabójstwach, które już całe miasto pod tysiącznemi obiegły postaciami, a lud łacnowierny wierzył w to, iż ks. Czarnkowski był sprawcą zabójstwa i użalał się nad losem studentów, którzy sprawiedliwości u króla samego żebrząc wyjednać nie mogli.

Ksiądz Czarnkowski, którego ucha doszły już odgrażania i rzucane nań potwarze, mocen niewinnością swoją, siedział sam z sobą rozmyślając, gdy z południa wbiegł do niego posłaniec wzywający go, aby się bez zwłoki stawił do biskupa Samuela Maciejowskiego.

Nie wątpił już o co chodziło Czarnkowski i wdziawszy dystynktorjum i nowy ubior, polecając dom nowo przyjętemu słudze, wyszedł spiesznie.

Ksiądz biskup Samuel Maciejowski, znany z gorliwości swojej jaką na wysokiem dostojeństwie — o dobro kraju okazywał, z surowej cnoty, przyjemności w obcowaniu i wysokiego oświecenia, które nie wszyscy owego czasu biskupi, często intrygami na ten stopień wzniesieni, posiadali, mieszkał na rogu Kanoniczej ulicy *). Mieszkanie jego oznaczało duchownego ściśle przywiązanego do tego, co po nim stan jego wymagał. Obszerne wysokie sale zawieszone były obrazami świętych, biskupów i papieżów. Na stołach rozłożone były księgi, stały krucyfiksy, leżały mapy i papiery.

U każdych drzwi ze święconą wodą przybite były naczynia, a nadedrzwiami łacińskie z pisma świętego i ojców kościoła napisy, nadawały temu miejscu pozór klasztoru.

Przeszedłszy liczny szereg komnat, znalazł się ks. Czarnkowski w osobnej izbie, wybitej makatami, w pośrodku której stał stół wielki nakryty suknem, zarzucony papierami i księgami.

W około wisiały portrety biskupów Krakowskich, na małym stoliczku wysadzany perłową macicą ogromny na biblii in folio spoczywał krucyfiks, w kątku paliła się lampa przed obrazem N. Panny — podłoga wysłana była kobiercem.

Ksiądz Samuel w fioletowej czapeczce i sukni obszernej podbitej popielicami siedział za stołem, dyktując pismo jakieś klerykowi, który je trochę opodal na

*) Górnicki.

Żacy krakowscy

ławie siedząc pilnie pisał. Był już biskup nie młody, czoło miał łyse, a resztę włosów w tył zagarniał i nieustannie dla ciepła czapeczkę nosił, usta i twarz miał zapadłe, ale oczy świeciły jeszcze blaskiem życia. Za wejściem ks. Czarnkowskiego biskup księgę, którą miał na kolanach, złożył na stole i dał znak ręką klerykowi aby szedł, mówiąc: poczekasz Waszmość w kancelarji.

Potem przymknęły się drzwi komnaty i biskup został sam na sam z przybyłym. Przywitanie ich okazywało, że zostawali oba nie w tych stosunkach w jakich zwykle podległy z naczelnikiem zostaje, lecz raczej przyjaźń i pewien stopień poufałości.

Biskup nachylił się ku niemu z uśmiechem, wskazał na krzesło obok stojące i zwracając niebieskie łagodne oczy ku przybyłemu, jak gdyby chciał schwycić wrażenie jakie na nim zrobi jego mowa, odezwał się:

— Cóżeś to Waszmość księże Andrzeju porobił, że cały zamek brzmi narzekaniem na Waszmości, a król sam nawet mocno się zdaje nieukontentowany na niego. Dziś rano opadli go studenci skarżąc się na ciebie.

— Bóg mi ten krzyż zesłał — odpowiedział Czarnkowski, że niewinnie cierpieć muszę prześladowanie. Wasza Pasterska Mość sama osądzi czyliм co zawinił, kiedy mnie wysłuchać zechce.

— Skłonnym jestem do uznania cię niewinnym, gdyż znając się nie dzisiejszym czasem i nie jedną z tobą beczkę soli zjadłszy, ufam żem cię poznał należycie i umiał ocenić. — Czarnkowski skłonił głową i w te słowa zaczął:

— Odednia wczorajszego niczem nie brzmi miasto, jak tylko narzekaniami na mnie, przechodząc ulicą słyszałem wszędy, jak mnie palcami pokazując gawiedź

przezywała i szydziła ze mnie. Gdyby nie owa pokora, którąm przywykł w naszym stanie utrzymywać, którą wszelkie cierpienia odnosić zwykłem do Boga i cierpliwość którą uzbrojony zostałem kiedym przyjął imię wyrobnika w winnicy Pańskiej — nie wiem jakobym zniósł niesprawiedliwe narzekania.

Z południa jeszcze wczora przysłał do mnie ksiądz wikary od N. Panny Marji, abym mu przybył na wieczerzę pomódz czas przepędzić z bratem, który szczęśliwie onoco z zamorskich przybył krajów, na co przez tegoż sługę odpowiedziałem mu, iż przybędę. Jakoż z południa odprawiwszy co się z obowiązku i z serca Bogu z dnia oddać należało, wyszedłem pieszo ku niemu.

Zastałem tam już pana Wojnę, który nim się wieczerza zaczęła zabawiał nas wielce opowiadaniem o podróży swej i po dworach cudzoziemskich przebywaniu. Co zacz dziw, że w tem miłem gwarzeniu z wielce bystrego rozumu i obszernych wiadomości z panem Wojną przebiegł nam czas ku wieczerzy szybko, żeśmy się nie opatrzyli jak wieczór nas zaskoczył.

Byli też tam dwaj księża od św. Bernarda zdawna znajomi księdza Wojny i jego brata. Gdy przyszło ku wieczerzy, przyspieszyliśmy oną, gdyż wszystkich różne stanom ich właściwe zatrudnienia doma wzywały. Lecz gdyśmy jeszcze za stołem rozprawiali o Lorecie i Rzymie, zkąd relikwie wielkiej wagi ów podróżny bratu poprzywoził, wpadł sługa z oznajmieniem, że w stronie miasta około W W. Świętych rozruch się wszczął jakowyś. Jakby mnie jakie tknęło przeczucie, tak zaraz biesiadników pożegnawszy, gdy mnie jeszcze wstrzymywać się starali, mówiąc że to gawiedź pijana wadzić się musi, pospieszyłem do domu.

Aliści gdy się ku swemu spokojnemu zbliżam kątowi, widzę jako ku mnie ze wszech stron tłum studentów bieży z krzykiem, i jacyś ludzie, gdyż dla nadchodrącego zmierzchu nikogo rozeznać nie mogłem, pędzą owych młodzieniaszków bijąc i krzycząc. Z drugiej strony w oddaleniu ujrzałem kobietę w pobryzganych błockiem sukniach z krzykiem i narzekaniem rozpustnicom właściwym, biegącą w drugą stronę. Nie wchodząc zatem w rzecz, umknąłem tylko ku sąsiedniej bramie aby mnie nie zaczepili, i spokojnie przybyłem do domu.

— Więceś Waszmość nie był czasu tego rozruchu doma? — przerwał biskup zdziwiony.

— Nie byłem jako żywo — rzekł Czarnkowski.

— I nie posyłałeś ani zachęcałeś sług swoich?

— Wnet opowiadanie moje ukończę, rzekł Czarnkowski, z którego się jawnie niewinność moja pokaże, a na co wszystko *testes oculares* przywiodę. Przybyłem do domu i zdziwiony byłem widząc wszystko otworem stojące i sług moich prócz jednego niebytności. Pozostały najmłodszy spał pijany na łóżku, ubrany w moje suknie, a podle niego maczuga, nocną porą wychodząc na miasto używana, leżała.

Zbudziłem go chcąc się odeń o towarzyszach dowiedzieć, lecz z pijaństwa trunkiem i snem na poły *) ujęty nic mi rozpowiedzieć nie mógł, a bąkał tylko coś o nierządnicy i studentach których bito. Potem padł na łoże i usnął. Zamknąwszy tedy drzwi oczekiwałem, ażali się i tamci nie zjawią, którzy sądziłem że się tumultowi ze zwykłą ciekawością prostego ludu przypatrować wyszli. W chwilę potem w istocie ujrzałem ich

*) Po połowie. Stary sposób mówienia.

z kijami i szablami w ręku i o krok od nich przerażony cofnąłem się, gdyż suknie i ręce całe mieli krwią obluzgane. Z mowy ich poznałem wnet, że równie jak pozostały sługa winem byli ujęci. Kiedym ich wypytywał coby robili, że się jak rzeźnicy krwią omaczali, odpowiedzieli mi, że o tem wiedzieć muszę, gdyż dopełniali rozkazów moich. Gdym zaś żegnając się pytał jakieby były, rzekli: Ażaliż Waszmość nie pomnisz jakeś wyszedłszy z kijem w domu bić nam studentów kazał i wołał na nas? — Pojąłem zaraz, że ten kogo za mnie wzięli w ciemności, był ów pijany w suknie moje ubrany pachoł, o czem gdy ich silnie gromiąc przekonałem, polękawszy się w nocy uciekli.

— Jeśli, jak nie wątpię, to jest prawda, jakeś mi ją Waszmość opowiedział, tedy niewinnym i białym się okażesz, chociaż król sam nawet, którego owo ranne i krzykliwe najście na zamek zniechęciło, przysięga, że jeśli będzie cień winy na kim, pewnie nie daruje. Moją znasz Waszmość powinność, iżem jest szkół obrońcą, a zatem sprawę studentów także popierać muszę.

— I sam bym ją ja, będąc na W. P. M. miejscu, popierał, gdyż postępek sług moich każdemu sprawiedliwemu bezecnym wydawać się musi.

To mnie tylko boli, że długim czasem nieposzlakowane nosząc imię, wmięszany zostałem w sprawę, z której acz czysto wyjść mam nadzieję, wszelako pamiątka mi niemiła po niej zostanie.

— O to się nie lękaj księże Andrzeju — nie dziw że król niezwykłym obruszony postępkiem uniósł się trochę i zdaje się być na Waszmość gniewny, sądząc żeś tego przyczyną, lecz gdy się o wszystkiem przekona, bez wątpienia lekko tę sprawę zagodzim. Jeżelibyś zaś

co o tych znikłych winowajcach wiedział, to donieś natychmiast, abyśmy ich łatwiej połapać i własną twoją drogą nam niewinność okazać mogli.

— Zkąd ich pobrałem, odpowiedział Czarnkowski, to miejsce wskażę, a możeć da Bóg że ich najdziemy.

— Pomnij tylko Waszmość, dodał biskup, abyś wezwawszy świadki swoje które masz, stanął jutro przed króla. Nierad bowiem pan nasz, że go ta młodzież wszędy niesprawiedliwym obwołuje, uskarżając się, że jej posłuchania odmówił, jutro wzywa ich aby mu rzecz swoją przełożyli. Teraz idź Waszmość w pokoju. Z Bożą pomocą wszystko się dobrze ukończy. A idąc przez ową izbę kędy pisarze moi siedzą, każ tu Górnickiemu przyjść do mnie.

Czarnkowski wyszedł, i dopełniając nakazy biskupa powołał z kancelarji młodego chłopca, który się tam na ówczas bawił rozpowiadaniem jakiejś historji, sławnym będąc między swemi z wymowy łatwej i zręcznej. Słuchali go wszyscy z otwartemi ustami, gdy wszedł prałat. Po ukłonach i ucałowaniu ręki, młody Górnicki, wysoki, pełen zdrowia i ognia człowiek, z twarzą bystre oznaczającą pojęcie, poszedł do biskupa, a ksiądz Andrzej ku domowi.

Tu z nowem wezwaniem napotkał go woźny, mięszając w mowie nałogowe grubiaństwo i potrzebne uszanowanie i na scrutinium do sądu powołując.

Przyszli też wkrótce ku samotnie siedzącemu i rozmyślającemu goście, jako to: ksiądz Wojna z bratem i dwóch Bernardynów.

Ci usłyszawszy w mieście co się działo z ks. Czarnkowskim i o co był obwiniany, przybywali rozpytać się u niego o szczegóły wypadku, a ks. Andrzej nie omie-

szkał ich przy tem zdarzeniu prosić, aby mu nazajutrz przed króla za świadki służyć chcieli: iż w godzinie rozruchu z niemi się na wieczerzy znajdował. Na co wszyscy chętnie przystali, zważając także, że u biskupa i króla, przychylnych zdawna Czarnkowskiemu, jego popierając sprawę sami sobie na względy zarobią. Brat zaś księdza Wojny, przybyły z zagranicy, usilnie stanął około tego, spodziewając się za jednym razem zobaczyć nowy dwór młodego króla. — Chociaż oświadczenia te i gotowości do usług były jak widzimy częścią z powodów miłości własnej przedsięwzięte, wziął je jednak za oznaki szczerej przyjaźni ks. Czarnkowski. Był bowiem bardzo dobrego serca człowiek, a z siebie o drugich sądząc, najlepsze im we wszystkiem chęci przypisywał, z pokorą i cierpliwością chrześcjańską znosząc co się Bogu podobało zesłać na niego.

V.

Pogrzeb i dziewczyna.

Był to sobie braciszek i siostrzyczka. Bajka.

Czas był średni między południem a wieczorem, czyli podług owczesnego rachunku zegarowego godzina 21[sza] *), a dzień stał się pochmurny, tak że się prawie jesienne popołudnie zbliżaniem nocy wydawało; — gdy mimo okropnego wichru i co chwila mogącej spaść ulewy, wyszli studenci grześć trupy pobitych braci swoich. Najbogatszy mieszkaniec Krakowa, choćby sto płaczek najzdatniejszych do krzyku, jęczenia i lania łez najął, nie byłby miał pogrzebu, na którymby tyle lamentu było, jak ten któren mnóstwo zgromadzonego prowadziło ludu z ubolewaniem i żałością.

Szli ku Bernardyńskiemu cmentarzowi wszyscy a naprzód postępowali księża uproszeni do tego obrzędu, w żałobnych kapach z krzyżem i chorągwią na której z jednej strony powiewała w powietrzu śmierć z kosą

*) Tym sposobem liczą na 24 godzin we Włoszech, zachód słońca jest pierwszą i ostatnią.

i klepsydrą, z drugiej wizerunek Jezusa ukrzyżowanego.

Po za niemi niesiono w otwartych trumnach okrytych z boku całunami, ciała czterech ubitych przybrane w suknie, których im pobożni mieszczanie dostarczyli. Na wiekach trumien osobno niesionych leżały wieńce, a twarze blade umarłych spoczwarzone uderzeniami od których polegli, patrzały w niebo zamkniętemi oczyma. Na piersiach złożone mieli ręce, a w ręku krzyżyki i obrazki świętych patronów, z których nie jeden dłużej przetrwał w ziemi cały od ich nędznego ciała. Za trumnami szły tłumy niezliczone studentów spiewając pieśni, przeklinając, pchając się i krzycząc. W pośród nich ukazywały się gdzie niegdzie łyse głowy mieszczan i okryte czółkami białychgłów, które ocierając fartuchem łzy z oczu szły z wolna za konduktem.

Błyszczały zatulane od wiatru niedogasłe świece i lekki dym kadzidła porwany wichrem unosił się i rozpływał w powietrzu.

Z okien, ze drzwi domów ukazywały się głowy mieszczan ciekawych wąsatych i golowąsych, i kobiet w czółkach i z kosami. Tym sposobem przeszedł kondukt, a z ust do ust powtarzano w tłumie coraz dziwniejsze o zabiciu i zgonie tych studentów pogłoski. Jeden z współczesnych pisze że pełen był Kraków tego narzekania.

W chwili kiedy do przygotowanego dołu spuszczać miano ciała pobitych, wśród powszechnej cichości szumem tylko wiatru i gwarem ciżby przerywanej, Lew Maciejowski wstąpiwszy na kamień grobowy zwrócił powszechną uwagę wykrzyknikiem, głośno wymówionym, prowadzący do mowy na pamięć pobitych.

— Niech im Bóg da wieczny spoczynek!

— Amen!! — Krzyknęli wszyscy tak, że słowo to niepodobne do słowa, złożone z tysiąca głosów, zdawało się jakimś okropnym wrzaskiem, odbitym w grobach. ..... Niech ten ostatni widok bladych twarzy naszych towarzyszów i braci rospali w nas, jeżeli w kim ostygła, chęć pomszczenia się za nich. Acz nie chrześciańska jest rzecz mścić się, przystałoż jednak puszczać zbrodnię płazem, aby broiła nie zatrzymana w pędzie? Bóg świadek nasz żeśmy nic nie popełnili, czem byśmy na tak srogą karę i gwałt zasłużyć mogli. Jakież jest biedne życie nasze? — z rana do wieczora tułactwo i nędza. Nikomu złego nie czynim, a sami łaską żyjąc życzym wszystko dobrze, bo czynić nie w naszej mocy. I za to nas biedne sieroty jak plugawe robactwo pobito? — O! wy dusze pomarłych, jeżeli z nieba słyszycie nas jeszcze, jeśli wam Bóg do swego tronu nie odmówił przytułku, jak nas król ziemski odepchnął, zanieście tam skargi swoje przed Niego, bo On ojciec i król sieroty, on się pomści i ukarze, gdy ludzie nie chcą.

Dotąd cicho było w tłumie, lecz gdy tych słów domawiał, zdala dał się słyszeć głos płaczliwy, jęczący, głos kobiety, tak różny od głosu męzkiego żalu i rozpaczy.

Dźwięk ten rósł co chwila, zbliżał się i wyraźniejszym stawał, utknął się mowca w mowie, stanęli wryci słuchacze, grabarze podnieśli głowy, tłum przerzedzać się i rozstępować zaczął — ukazała się dziewczyna. Blada, nędzna, schorzała choć młoda, w lekkiem, poszarpanem i zbloconem płóciennem odzieniu, z rozpuszczonemi po ramionach włosami, z obłąkanemi oczyma, z wychudłemi i załamanemi rękoma, boso, z roztwartą,

suchą i nagą piersią. Młoda dziewczyna znędzniała w kwiecie wieku, jak przymarzły zawiązek owocu, schwycony mroźnym wiatrem na rozwijaniu, której liczbę dni nędznych każdy mógł z twarzy wyczytać, której widok wzbudzał westchnienie i litość, młoda, biedna dziewczyna.

Usta jej jeszcze były otwarte, ale już nie krzyczała — wielość osób, księża, trumny, krzyże, lud, cała ta pycha z którą idziem do grobu, nie zastanowiły ją, nie widziała nic. — Spojrzała tylko obłąkanem okiem po trumnach, odepchnęła milczących ludzi od siebie i padła krzycząc przeraźliwie ku jednej z trumien.

— Oddajcie mi brata! zawołała tarzając się po ziemi, porywając piasek chudemi rękoma, ciągnąc róg całuna od trumny i cisnąc się ku niej, choć ją odpychali grabarze. — Oddajcie mi brata. Zabiliście go, odżywcie — o! kto mi jutro poda chleba kawałek, kto mi wieczór wspomni o ojcu i matce? Oddajcie mi brata! — Ojciec i matka w grobie, nie bierzcie jego, niech żyje! on żyje, on patrzy na mnie, on śpi tylko. — Potem zaczęła płakać i jęczeć, księża nawet patrzali i dziwili się w duszy, że im żal było tego biednego stworzenia, którego połowę życia brat niósł do grobu. Patrząc na nią w istocie zdawało się że pół tylko życia miała, tak blada, chuda i zbiedniona, tak włosy jej krótkie i zbłocone zdawały się trupią, z ziemi wydobytą okrywać głowę. — Księża go zabili — wołała — księża go zabili — przybiegłam jak konał — mówił mi ostatniem tchnieniem że go zabili — któren z was odda mu życie jego i moje, moje! — Odżywcie go, odżywcie.

I znowu rzucała się na ziemię i chwytała kamienie,

pierś jej lala się krwią czarną, nogi krwią były zbroczone, twarz kroplami krwi pokryta jakby łzami rozpaczy — kamienie i piasek rozszarpały ją.

— Sama jedna! wołała znowu jęcząc — nie chcę, o! nie chcę zostać sama jedna, pójdę lepiej z tobą braciszku do ojca i matuni — oni dawno nas opuścili! — Weź mnie z sobą mój drogi!

Grabarze nie mieli siły odpychać biednej sieroty, księża z otwartemi usty stojąc spiewać nie śmieli, tłum cały zapomniał swoich boleści, a żył i czuł żal sieroty, żal ten tak gwałtowny, tak okropny, który z otaczającego go świata nic nie widział, prócz ciała zabitego brata i grobu.

Leżąc tuż przy stojącej na ziemi trumnie, poglądała na blade jego ciało i grób tuż otwarty osłupiałemi oczyma, a z ust jej wyrywały się słowa, które nie są z żadnego języka ziemi, lecz je dusza każdego człowieka zrozumie, słowa, których zimnemi usty powtórzyć nie można, ani uczuć zimną piersią, ani pojąć zimną głową.

A z tłumu wystąpił jakiś człowiek nizki i otyły, z namarszczoną brwią i wydętemi policzkami; chwycił ją za rękę i zawołał tak zimno jak gdyby stali przy kominie w domu, nie na cmentarzu przy grobie otwartym i trupach.

— Chodź Halko — chodź — czy nie widzisz, jak się z ciebie śmieją?

— Śmieją? Kto się śmieje — zawołała głośno dziewczyna, chyba ten kto nie miał brata, ani matki, ani ich pamięta. Kto się śmieje? Dawniej i ja się śmiałam jak byłam mała, jak mnie biedna matunia nosiła żebrząc chleba na ręku, ale lepszy był w ówczas płacz mój, jak wasz śmiech dzisiejszy!

To powiedziawszy smutnie spojrzała na trumnę i zdawała się spokojniejsza, łzy jej zmieszały się z krwią na twarzy i płynęły po piersi. A gruby mieszczanin targał ją za rękę i wołał:

— Chodź Halko do domu, chodź — kto umarł wieczny mu pokój. Tyś sługa, idź służ, nie czas tu krzyczeć jak opętana, na dziwowisko miastu. — Za nim wystąpiła przedzierając się przez tłum, kobieta z czarnem okiem i zapadłą twarzą suchą i pomarszczoną, i ta ciągnęła z drugiej strony dziewczynę, która trzymała się trumny i jakby nie czuła targania i głosu nie słyszała, płakała patrząc na brata.

— Mówiłam ci Florku, odezwała się jejmość czarnooka do grubego jegomości, że z tej dziewczyny nic nigdy nie będzie — zawsze miała skłonność do warjacji. — A pan Florek z panią Florkową lamentując napróżno starali się przyciągnąć dziewczynę, gdy — ktoś trzeci z tłumu wystąpił.

Ten przeciąg czasu dał się nieco widzom uspokoić, ustało przedłużone pierwsze wrażenie boleści, zaczęto szeptać, gdzie niegdzie ozwały się głosy i księża z grabarzami rozmawiać, nakłaniając ich aby odprowadzili dziewczynę, gdyż czas było przedewszystkiem kończyć nabożeństwo i iść do domu.

Trzeci także wyszedłszy z tłumu przystąpił do dziewczyny — był to prosty parobek, silny, duży, z czołem pogodnem, z wielkiemi niebieskiemi oczyma w koszuli i siermiędze, z rydlem w ręku. Ten pchnął panią Florkowę i pana Florka i przystąpił do dziewczyny, która ciągle leżała twarzą na piasku, krwawiła i rozdzierała piersi i jęczała boleśnie.

— Halko, rzekł cicho, nie płacz po bracie — on te-

raz w niebie. Pójdziem my wszyscy do niego — a tymczasem idź ze mną, będę ci bratem.

— A toż co za drągal? odezwała się pani Florkowa — musisz Waść wiedzieć — rzekła do niego, że ja ją na rok cały zapłaciłam i ona u mnie służy.

Parobek spojrzał nic nieznaczącym, obojętnym wzrokiem na panią Florkowę, wziął dziewczynę za rękę, szepnął jej jakieś słowo na ucho i jęczącą jeszcze podniósł z ziemi. Na ówczas pokazała się jej twarz znowu, twarz zalana krwią i łzami, poczerniona ziemią i błotem, na której nic prócz oczu i zębów rozeznać nie było można. Halka już nie krzyczała, była spokojna, a parobek niezważając na wyrzekania państwa Florków trzymał ją na ręku i płachtą jakąś twarz jej krwawą ocierał. — Ona jak osłupiała, zgrzytała tylko zębami i dzwoniła jak w gorączce, przewracała oczyma i drżała jak kropla wody na liściu.

— Przysięgłabym, zawołała w tej uroczystej chwili pani Florkowa, że ta szalona zostawiła garnek z kaszą na ławie, a pies wyjeść ją gotów. Postój no tu mężu, żebyś ją do domu odprowadził, a ja pobiegnę.

To rzekłszy zaczęła się nazad przez tłum zapalczywie przeciskać i znikła. Ostatnich jej słów prócz bliżej stojących nikt nie słyszał, bo spiewy księży zaczęły się znowu rozlegać po nad grobami a krzyki pospólstwa odpowiadać im.

Księża święcili trumny i ciała, grabarze trzymali sznury — Halka stała nieruchoma. Cztery trumny razem ruszyły się do dołów, a gdy jedna z nich, w której było ciało biednego brata Halki znikła jej z oczu, — ona zebrała sił ostatek, krzyknęła całą duszą, wyrwała się z rąk parobka i rzuciła się za nią w dół. Trumna

i ona stanęły razem u dołu, bo ciężar niespodziewanie przybywający jej ciała, wyrwał grabarzom sznury. — Głośny krzyk rozległ się po cmentarzu — potem cichość oczekiwania i wszyscy posunęli się po nad grób, szepcząc i krzycząc. — A nikt nie miał łzy w oku tylko jeden parobek, a nikt nie stał bliżej jak pan Florek, oba mieli przyczynę — lecz tak różną!! — Wśród powszechnej cichości dały się słyszeć jęki na dnie dołu i uderzenia o trumnę.

Halka rzucała się na dnie dołu i głos jej słabnął co chwila. Prędko spuścił się parobek po sznurze i podjąwszy jej ciało uwiązał je do sznura. Wyciągniono na brzeg biedną Halkę, ale ona już nie żyła, czoło miała świeżo rozbite o trumnę, a twarz zeszpeconą poznałby chyba ten ktoby jej żałował — jej jeden żałował tylko.

Pogrzeb się skończył, doły się zasypały. W piątym małym, nikczemnym dole leżała Halka bez trumny, tuż koło brata. Dół jej kopał parobek, i sam nad nią mówił modlitwę — jedną, bo jedną umiał tylko. Państwo Florkowie mocno jej żałowali, bo była na cały rok zapłacona.

VI.

Senior.

. . . . po pogrzebie do domu Mikołaja Szatkowskiego seniora uderzają, nalegają prożbą i pogróżkami, aby z kolegami chciał oną sprawę na siebie przyjąć i nie dopuszczał aby tak szkaradne zabójstwo ujść miało bez kary.

Orzechowski Kron.

Senior Mikołaj Szatkowski mieszkał tuż przy onym pobudynku szkolnym, w małych dwóch izdebkach od ulicy, których okna nie wzniosłe jak jego myśli, tuż nad ziemią były.

Mikołaj Szatkowski był szlachcic, a jak samo jego okazywało nazwanie człek już nie młody i doświadczony. który część znaczną swego wieku strawił z młodzieżą, pokochał ją nałogowo i umiał nią kierować. Powolny, rozważny, mocen charakterem lecz nie popędliwy, stał na swojem miejscu jak antidotum żywości dziecinnej swoich podwładnych. Bo na pozór jak lód był zimny, żadnej rzeczy nie brał od razu do serca, ale powoli rozbierał ją w umyśle, na wszystkie strony przewracał, póki mu się nareszcie taką jaką ją chciał mieć nie

wydała. Najdrobniejsze szczegóły, najżmudniejsza praca, były mu najulubieńszą zabawą — i dla tego ze wszystkich nauk filologja i języki najlepiej mu się podobały, a szachy zapełniały wszystkie godziny wolne od obowiązku i pracy. W nocy naśladując *lucubrationes* sławne Cycerona ślepił niedogasłemi oczyma nad grubemi edycjami Hezioda i Ksenofonta, które z szachownicą najdroższy skarb jego składały. W sercu był to dobry człowiek, lecz w obejściu tak nadzwyczajnie powolny, że cokolwiek żywszych od siebie w niecierpliwość wprawował. Chód i mowa jego szły w parze z charakterem, kroki mierzył powolnie i troskliwie, a gdy po długim namyśle ozwał się przecie, mówił tak leniwo i szczegółowie, że nigdy końca doczekać się nie było można. Z twarzy nawet jego sama wyglądała powaga, oczy miał wielkie i nieruchome, czoło pochyłe niskie i zmarszczone i wąs zawiesisty — resztę twarzy golił starannie. — W charakterze jego i to jeszcze było godnem uwagi, że gdy po długiem rzeczy rozbiorze stanął na jakiem *ultimatum*, żadna w świecie siła moralna nie mogła mu z głowy wywindować jego przekonania, przy którym stał uporczywie, choćby go to cząstkę nawet życia kosztować miało. Zdawało mu się bowiem, że gdy więcej od innych łożył czasu na rozmyślanie o każdej rzeczy, miał prawo znać ją lepiej od tych, którzy ją tylko mimochodem zaczepili.

Do niego to prosto z pogrzebu posunęli się studenci wszyscy ze zwykłym krzykiem, któren jednak cokolwiek poskromiło zbliżenie się do mieszkania osoby, której się więcej od samego króla lękali; bo tamtego władzy bezpośredniej nie czuli nad sobą, tego zaś ciągle mieli przed oczyma i na umyśle.

Pan Mikołaj grał na ówczas w szachy z towarzyszem swoim Aleksandrem Glinką, który podobnyż w innym szkół oddziale miał obowiązek. Było ich bowiem kilku seniorów; Mikołaj Szatkowski szeroki plan rozpocząwszy i zgromadziwszy wszystkie siły swoje na jeden punkt z tej strony króla, z której królowa w początku gry nie stoi, zabrawszy mniej uważnemu przeciwnikowi wiele działających figur i postawiwszy króla w szachu, z którego jeden był tylko krok i ten do matu prowadził — cieszył się już wygraną, gdy nagły krzyk zbliżających się studentów zwrócił uwagę jego przeciwnika.

Zaczęto nareszcie pukać do drzwi.

— Spojrz no Waszmość kto to tam tak łomocze? rzekł gospodarz do kolegi — pewnie studenci.

Pan Aleksander cały w szachach i niefortunnej grze swojej, nieruszając się z miejsca odezwał się tylko.

— Idź Waszmość sam, bo ja *ultimus spiro* i namyślić się muszę.

— Tylkoż ostrożnie Waszmość, żebyś mi tu co nie poprzewracał, bo czasem umiesz kręcić.

— No! no! bez tych podejrzeń! a kiedy-żem się tego dopuścił?

Mikołaj Szatkowski wstał powoli wyciągając nogi i mało bacząc na hałas powiększający się w sieniach, splunął, potarł czoła i dopiero ze wszelką formalnością drzwi otworzył. Tu pokazały się sieni pełne studentów, których głowy jedna nad drugą wyglądały. — Na przedzie stał Lew Maciejowski, który ukłonem witał seniora i ozwał się:

— *Laudetur Jezus Christus!*

— *In saecula saeculorum.* Mospanie — mój skoczek stał na białem, jużeś go przestawił!?

— *Mehercle*, nie, tak się Waszmości zdało. Lew nie śmiał zaczynać.

— *Incipe*. odezwał się senior, ciągle po łacinie. *Quidnam?*

— Nic nowego, ani dobrego, odpowiedział Lew po polsku, przybyliśmy wszyscy prosić was i błagać o jedną łaskę.

— *Optime!* rzekł senior, odwracając się kolejno ku szachownicy którą niespokojnem okiem mierzył i ku niemu. — Byle nie względem owej sprawy o zabójstwo.

— Właśnie o to rzecz idzie.

— O tem i słyszeć nie chcę, rzekł senior powoli, dużoście już Waszmość narobili i król na was słyszę mocno zagniewany, ja się w to mięszać nie będę.

— Waszmość-że to nas opuszczasz, zawołał student zbliżając się z drugiemi ku niemu, któryś z nami był w dobrem, w złej-że nas porzucisz doli? Alboż Waszmość nie czujesz całej okropności tego zabójstwa, na które się wszyscy wzdrygają?

— *Optime!* Rozważałem nad tem Mospanowie, długo nad tem myślałem, a omacawszy rzecz ze stron wszystkich, zadecydowałem żeście nadto popędliwie we wszystkiem postąpili sobie.

— Ale.

— Proszę chwilę posłuchać. *Pro primo* należało (mój chłopek nie tu stał, panie Glinka, cóż to znowu?) *pro primo* należało się przedewszystkiem udać do sądu, a gdyby ten po rozwadze z jakiejkolwiek przyczyny owej sprawy nie przyjął, na ówczas dopiero, z uszanowaniem i łagodnością, wyuczywszy się oracji — iść błagając do króla; ale nie takim tumultem i wrzaskiem, który

króla mocno słyszę rozgniewał. *Summa summarum* w tę się sprawę nie wmięszam, raz że to nie jest moja rzecz i świadkiem tego nie byłem, a zatem sądzić nie mogę kto winien — powtóre (posunąłeś Waszmość oczywiście chłopka panie Glinka — ja grać nie będę), powtóre że Waszmościom moja prezencja mało pomoże, a mnie wiele zaszkodzić by mogła. Wszystko rozważyć wprzódy trzeba niżeli się robić zacznie, tak tedy.

— Nie spodziewaliśmy się tego nigdy po Waszmości, rzekł Lew, abyś to mógł uczynić. Chyba może jesteście przyjacielem zbójcy tego Czarnkowskiego.

— *Notabene* zbójcą zwać kogoś, bez *scrutinium* i przekonania, nie godzi się; powtóre ksiądz Czarnkowski znany i mnie i wszystkim, że tego ani robić, ani rozkazywać nie mógł; na ostatek wiadomo że to słudzy jego pobroili, na cóż jego obwiniać?

— Jego słudzy, słudzy! — krzyknęli wszyscy.

— Jesteś Waszmość źle uprzedzony, rzekł Lew, widzieliśmy oczyma swemi, jak krzyczał i zachęcał aby nas bito — któż go nie zna?

Ksiądz prawda wielkiego rodu, ale czyż ród jest tarczą od występku? — popytajmy się księży jak go w nienawiści mają.

— Nic dziwnego, księża mają swoje przyczyny — rzekł senior (Boże mię skarz! ty tam znowu figlujesz lewą ręką od rogu) księża go nienawidzą że się cnotami swemi prędko wyniósł, bo zwykle tych niecierpim, którym sprostać i zazdrościć nie możem. Jest tu wnet i pozór dla księży w tem niewinnem obwinieniu; będą nań walić góry, ale ja umywam ręce.

— Pożałujesz tego Waszmość, jeżeli to zrobisz — rzekł Lew, Waszmość bronisz księdza Czarnkowskiego

tożby nas przecie bronić przystało, nie tego co aż nadto ma obrony, choć jej nie wart.

— Waszmość prędko, popędliwie a bez rozwagi rzecz bierzecie.

— Żal nie zna uwagi...

— *Optime*, ale cóż ksiądz winien że się Waszmość powaśnili, że was pobito. Żałuję ja mocno tych co polegli, znałem ich dobrze, choć ubodzy, ale pięknych nadziei chłopaki.

Wieczny im pokój.

Amen! zawołali wszyscy.

— A Waść ciągle przestawiasz szachy — krzyknął znowu pan Mikołaj — panie Glinka oznajmuję — że się ta partja nie liczy. Toż moją królowę oczywiście postawiłeś w szachu — ona tak nie stała. — Co się tycze tej sprawy panie Maciejowski, jakem już raz mówił ręce umywam.

— Aleć my Waszmości nie odstąpim tak — zawołali wszyscy i Lew przed niemi, Waszmość z kolegami sprawę naszą przyjąć i popierać musisz. Któż nam pomoże jeśli nie wy, my dzieci, sieroty — ty bądź ojcem naszym.

I hurmem sypnęli się do izby i padli przed nim na kolana. Na tak niespodziane błaganie cofnął się pan Mikołaj podejmując tego, który ukląkł najbliżej i rzekł:

— Fe! fe! nieprzystoi Waszmościom padać przedemną, ani myślcie aby to upokorzenie, któreście mi dobrowolnie uczynili, na mnie co wpływać mogło. — Podnieście się z ziemi, ja jakem raz rzekł, a wiadomo, że nie rad zmieniam zdanie, tak i teraz go nie odstąpię.

— Posłuchaj nas jeszcze, zawołał Lew nagle chwytając go za połę u sukni, nie waż lekce tego zabójstwa.

Odpowie za krew niewinną Polska cała i król także jeżeli je płazem puści. — Z tobą lżej nam będzie dopomnieć się swego, tyś starszy od nas i znasz świat lepiej i ludzi, na ciebie większe będą mieć baczenie, jak na liche dzieci sieroty. Jest tuż sędzia, zbrodzień, król, Samuel w tąż biskup, szkoły obrońca pod bokiem, ujmijcie się tylko Waszmość śmiało z kolegami, a Bóg sam płazem tego zabójstwa nie puści.

Cóż jeśli się ociągać będziemy, albo na łaskę Czarnkowskiego się zdamy? — w ówczas wszystko się uciszy; ale my tego nie zniesiem dłużej, i nie pozostaniem tu aby nas lada pachoł na ulicy miał zabijać, aby się ludzie śmiali żeśmy próżno ujęli się za swoich i odepchnięci zostali, jako sprawiedliwości nie godni. Któż jest tak nędzny i lichy ktoby na nią nie zasłużył? Żebyśmy i zbrodniarze byli, ukarać by nas potrzeba, ale i tych razem co nam przewinili. Jeżeli i Waszmość z kolegami odepchniecie nas tak jak wszyscy, niech na głowę księdza Czarnkowskiego spadnie krew niewinna, a my pójdziem ztąd. Nie nam nauki, kollegja i szkoły, rzucim wszystko, pójdziem z Krakowa kędy nas oczy poniosą. A cóż Waszmość w ówczas poradzicie, co żyjecie z dozoru, gdy nikt wam pod dozór nie zostanie?

— *Optime!* ale to próżne słowa — Waszmość tego zrobić nie możecie, żebyście i chcieli. — Żal się ukoi, pójdą rzeczy jak zwykle a zbrodniarze ukarani zostaną i pokój wróci.

— Nigdy! nigdy! zawołali wszyscy — będziem-że mogli chodzić z zimną krwią po ulicy, gdzie się lała krew braci naszych niepomszczona — pójdziem, pójdziem w świat.

— *Optime* — jednakże zważcie Waszmość jeśli możecie,

że byleście do tej sprawy z należytą powolnością i rozwagą pilną przystąpili i bez nas tam się obejdzie, a wszystko się szczęśliwie ukończy.

Primo. Sąd wyszuka zbrodniarzy i ukarze.

Secundo, tem samem występek będzie pomszczony.

Tertio, przekonacie się Waszmość że ksiądz Czarnkowski nic w tem nie winien, jeno tylko tyle, że jego słudzy to uczynili, chociaż on samby najmniej w tem nie był, ani im nakazywał.

— I ty na nas! i ty nasz nieprzyjaciel! nie nasz kto broni księdza Czarnkowskiego, on winien, on odpokutuje!

— *Optime*, a ja od tego umywam ręce i siadam grać. Ustawiam *de noviter* panie Glinka.

— Niech was Bóg broni, abyście tem gardzić mieli i opuszczać nas, zawołał Lew, pożałujecie tego mocno kiedyś.

— Więc mi Waszmość grozisz?

— Grożę karą Boga i ludzi, bo kto się za niewinnym nie ujmuje, sam winny jest. — Pan Szatkowski namarszczył brwi jakby się rozgniewał, ale on nie miał gniewu w sercu, kiwnął tylko potem głową powolnie i rzekł:

— Nie więcej groźbą jak prośbą zrobicie na mnie, wiem ja co począć.

— Jeżeli się nie ujmiesz Waszmość za nas, będziemy wołali że cię za seniora nie chcemy, ciebie i twoich kolegów. Toż to dozorca i pasterz pilny, co swe owieczki patrząc wilkom daje na pastwę!

Pan Szatkowski namarszczywszy się znowu powstał i rzekł: Idźcie Waszmości odemnie — żal was bezrozumnymi czyni, przyjdziecie jak ochłodniecie z niego.

Ja wam ani przyrzekam, ani odmawiam. Pójdziem z panem Glinką naradzić się u innych kollegów, co czynić należy; lecz nie myślcie, by to groźby wasze zrobiły. Czuję sam sobą że potrzeba rzecz tę rozważyć jeszcze należycie. Jeśli się zaś kollegom i mnie okaże rzeczą przyzwoitą wziąść obronę waszą, choćbym ja *in persona* nie stanął, oni dopomogą ile będą mogli. Wiecie dobrze, że nic bez pomiarkowania nie czynię. *Dixi.*

Chwilkę jeszcze stali studenci, lecz widząc nieporuszonego seniora i znając jego nieprzełamany charakter, poszli nareszcie narzekając i roznosząc żal swój po Krakowie.

Dwaj gracze usiedli do nowej partji, wśród śmiechu pana Glinki a milczenia Szatkowskiego, niewiadomo czy o szachach, czy o owej sprawie rozmyślającego.

VII.

Drugie posłuchanie u króla.

Król jawnem przypozwaniem — studentów na zamek przywołuje i mówić im przed sobą dozwala....

Kronika Orzechowskiego.

Któż nie słyszał o sławnej posłuchalnej sali w zamku Krakowskim, w której Zygmunt August porobić kazał owe głowy mówiące do siebie, nad któremi przedniejsze maksymy mędrców starożytnego świata ponapisywane były? Dziś śladu jej nie pozostało, ledwie znaczne otwory w których głowy siedziały, one zaś wzięte ztąd, za pamiątki, rozerwane po świecie, tulają się milczące świadki najpiękniejszego wieku dziejów naszych. Z nich to jedna, jak głosi podanie, miała się odezwać do króla z przestrogą wierszami łacińskiemi rymowemi — aby sprawiedliwie sądził. Piękny to był wiek, kiedy głowy drewniane uczyły ludzi i to jeszcze wierszami. Dziś wiele ludzkich głów mniej umie czuć sprawiedliwość, mniej ma życia i mowy w ustach, jak owe drewniane.

W tej sali zebrany był tłum liczny na posłuchanie, które król dawał studentom. Stali oni w oddaleniu ale cicho i spokojnie, czas rozwagi żal ich ukoił, milczeli

i czekali cierpliwie, póki im nie będzie dozwolono wylać się ze skargami i narzekaniem.

Król posępny był i gniewny, na twarzy jego bladej malowała się niespokojność, palce trzymał w ustach i co chwila brwi marszczył i czoło. Obok niego stali Samuel Maciejowski bisk. Krak. i w. kanclerz, Mikołaj Grabia podkanclerzy, Stanisław Maciejowski, Jan Tarnowski, Ocieski i mnóstwo prałatów, biskupów, senatorów i księży, wszyscy odkryte mieli głowy i król także, a na stopniach podniesionego nieco, lecz nie wytwornego tronu leżał mały jego kapelusik z piórami, którego obwódka sznurem z pereł otoczona była.

Zda mi się że opisywać króla było by to wedle wyrażenia jednego rzymskiego poety, drwa nosić do lasu, tyle go już razy malowano; lecz że królowie są zawsze przedmiotem ciekawości, a Zygmunt August był niepospolitym królem, wiele zapewne osób ciekawych najdrobniejsze szczegóły, zechce wiedzieć, jeżeli nie wie, jak wyglądał.

Król August był jeszcze dość młody, twarz miał pociągłą, bladawą, oczy podłużne, niewielkie czarne, ale pełne życia i wyrazu, brwi bardzo regularne nie wysoko nad oczyma umieszczone. Nosił wąs długi i bródkę podwójną. Czoło miał wysokie i gładkie — szczegóły rysów nic w sobie doskonałego nie miały, składały jednak całość przyjemną i żywą. Obraz jego na zamku w Warszawie, malowany gdy już był w wieku, szczątki tylko ówczesnej jego okazuje twarzy. Spodem miał król suknię jedwabną ciemnozielonego koloru, u szyi krezę dużą, na wierzchu drugą suknię podbitą lekkiem futrem. Nosił też łańcuch złotego runa, a na palcach miał kilka pierścieni z wielkiemi długiemi kamieniami.

Stali koło niego jakeśmy już mówili liczni dygnitarze; z jednej strony sali ks. Czarnkowski ze świadkami swemi, to jest z ks. Wojną, jego bratem i dwoma bernardynami, z drugiej studenci.

Gdy się za wejściem króla uciszyli wszyscy, dano znak studentom, aby sprawę swoją przełożyli, z których jeden wystąpiwszy w te słowa rzecz począł.

— Miłościwy królu i panie!

Jako słońce (była to mowa wyuczona, którą jak mówią, pisał jeden z seniorów). Jako słońce na najpiękniejsze świata cuda i najplugawsze świeci robaki, tak sprawiedliwość królów, nie uważając na małość i mizerność ludzi, przyświecać im powinna. Z sercem przejętem żałością i smutkiem przyszliśmy pod tron twój Najjaśniejszy Panie, do łaskawego ucha twego przełożyć żale nasze na przytomnego tu plebana księdza Jędrzeja Czarnkowskiego.

Król spojrzał na obwinionego surowo, ale na jego twarzy nic prócz cierpliwości i spokojnej rezygnacji znać nie było. Mowca rzecz dalej prowadził.

— Dzień temu trzeci N. Panie, jako z wieczora prowadzono wedle szkoły naszej kobietę znaną całemu miastu z obrzydliwości i niecnoty swojej. Niektórzy z nas naśmiewać się z niej poczęli, a gdy krzyczeć i nawzajem lżyć nas zaczęła, z pobliskiego domku usłyszał te wrzaski ks. Czarnkowski.

Nie nasza rzecz wchodzić zkąd miała początek litość owa, którą nad tą bezwstydnicą pokazał, toć tylko pewna, bo miasto całe prawie swemi oczyma widziało, że przykazawszy sługom swoim bronić jej i nas rozpędzić, gdy oni wzięli się do wypełnienia rozkazów jego, sam wyszedł na próg domu i jawnie, w obliczności

wszystkich, widząc nas pobitych, rannych i rozpierzchnionych, a nie czując litości, jeszcze nas gonić i bić przykazał. Ilu nas tam wówczas nieszczęśliwych i pognębionych było, tylu na to świadków. Ludzie owi zabiwszy czterech z naszych, raniwszy śmiertelnie kilku, którzy gdyby nie litość ludzi pospolitych i nizkich co się ostatkiem chleba swego z nami podzielą, może by na ulicach marnie poprzepadali — naigrawawszy się z nas bez litości, dopiero odeszli.

Cóż N. Panie, jeźli zuchwalstwo ludzi, pod bokiem twoim i oczyma prawie, takich się będzie dopuszczać bezprawiów? w co pójdzie moc królewska, jeżeli im to przepuścicie? Przyjdzie może do tego, że nas potem sieroty na śród ulicy codziennie kamienować będą.

I za co?

Lecz jeżeli przewinienie tak jawne i wielkie ujdzie kary pójdziem ztąd pewniejszego szukać miejsca dla nauk, które w ciągłej bojaźni i swarach ostać się nie mogą. Racz pokazać N. Panie, że by najwyżej zbrodnia stała, twoją jest rzeczą pchnąć ją z tej wysokości i przyzwoicie dla przykładu świata ukarać. — Gdyby się to co nam, i sługom tylko jakiego możnego pana stało, byłaby sprawiedliwość, a myż nędzniejsi jesteśmy od sług i pachołków, dla tego żeśmy ubodzy i nikt za nas przemówić nie chce? Tyś ojcem sierót N. Panie — tyś nasz sędzia, innego znać nie chcemy. — Wysoka twoja mądrość dójdzie winnego, a sprawiedliwość go ukarze.

Dokończywszy mowca skłonił się nisko, a król kiwnął głową. Przez cały ciąg mowy zwrócone miał oczy na obwinionego, chcąc wyczytać w poruszeniach jego twarzy to, co miał sądzić o przewinieniu; ale spokojne lice, którem nic poruszyć nie potrafiło, zrobiło go je-

szcze niepewniejszym względem prawdy, z której była strony.

Gdy studenci mówić przestali, nie odzywając się, ręką tylko dał król znak drugiej stronie, aby tłumaczenie swoje wyłożyła, a ks. Czarnkowski wystąpiwszy nieco naprzód, ozwał się cichym lecz pewnym głosem.

— Niemniej N. Panie w sprawiedliwości Waszej ufam i jej się oddaję w tej sprawie, jak ci których obwinienia niesłusznego z chrześciańską wysłuchałem pokorą. Ludzka rzecz pobłądzić w zdaniu i dla tego nie mam wcale za złe Ichmościom panom studentom, że uniesieni żalem zwrócili się z obwinieniem na mnie. Mówił ks. Czarnkowski ale go nikt nie słuchał, poprzednim wykładem sprawy wszyscy prawie ujęci i król sam nawet jak się zdawało, szeptali tylko i sądząc za niegodne uwagi to co ks. Czarnkowski mówił na obronę swoją, sami między sobą rzecz już tę wcześnie rozwiązywali. On nie mieszał się tem bynajmniej i spojrzawszy tylko po wszystkich, dalej mówił:

— Gdy się ów nieszczęśliwy rozruch stał podle mego domu N. Panie — nie było mnie tam.

— Jakto? przerwali studenci, niebacząc na przytomność króla — jakto? a to żeśmy wszyscy Waszmość widzieli. — Jak tego zapierać się możesz...

— Dajcież mi Waszmość dokończyć — przerwał pokornie ksiądz i niezważając na wzrastające znowu coraz głośniejsze szepty, które głos jego tłumiły, mówił dalej:

— Przytomny tu ks. Wojna poświadczy N. Panie, że dnia pozawczorajszego byłem u niego z przytomnymi tu osobami na wieczerzy, i bawiłem aż do samego końca rozruchu.

— Jednak miałeś Waszmość czas jeszcze powrócić, aby nas kazać zabijać — przerwał mu znowu student popędliwie. Świadki wasze jak widzimy są w liczbie czterech, naszych tylu, ile nas tu w sali, ile mieszkańców podle miejsca gdzie się to działo.

Ks. Czarnkowski milczał, król namarszczywszy się i wlepiając w niego oczy, zapytał:

— A Waszmość co na to?

— Niczem innem składać się nie mogę N. Panie, tylko tem com już mówił, nie było mię wówczas doma, na to i więcej świadków postawić mogę. Gdym powrócił znalazłem tylko jednego pijanego sługę, który w sukniach moich leżał na łóżku. Wnet i inni powrócili, którzy przyszedłszy do mnie, opowiadać mi zaczęli, jako spełnili wolę moją i studentów pogromiwszy przepędzili.

— Utknął się! aha! a co! wrzasnęli studenci; on mówił dalej spokojnie:

— Ja z podziwieniem odpowiedziałem im, żem tylko co do domu powrócił i przejrzałem do razu, że ów co w sukniach moich leżał, gdy w ciemności wyszedł na próg jak sam powiada i krzycząc towarzyszów zachęcać począł, wzięto go za mnie bez ochyby. Co, gdy im gromiąc, ich odpowiedziałem, zalękłszy się pouciekali nocą. Świadkowie moi, żem późno od nich powrócił poświadczą.

I obrócił się do świadków, ale spojrzawszy na nich, zobaczył na twarzach wszystkich jakąś niepewność, która dla niego źle rokowała.

Widząc ci albowiem, że przeciw ich nadziejom król nie brał strony ks. Czarnkowskiego, zalękli się zaraz i odmienili zdanie, sądząc że lepiej i rozumniej daleko

było, mocniejszej trzymać się strony. Lecz gdy już stawali za świadków i ich za takich ks. Czarnkowski ogłosił — jakże się było od dania za nim świadectwa wywinąć? — chociaż wiedzieli jak ono źle przyjętem będzie i jak przyjdzie nie w porę opierać się opinii króla i wszystkich przytomnych.

Ujrzał więc obwiniony, że świadkowie pomięszani i niepewni zdawali się i poglądali po sobie z pod głowy, jakby się bez słów porozumieć i zgodzić w zdaniach chcieli. Uciszyli się wszyscy, ustały szepty i gwar, król sam obrócił się z uwagą czekając zeznania świadków, lecz ci zwlekali, jak gdyby nie wiedzieli, który z nich miał zacząć. Studenci wyraźną okazywali niecierpliwość z tego ociągania się świadków a wszyscy w ogóle źle rokowali z tej zwłoki. — Sam nawet ks. Czarnkowski niespokojne rzucał na nich wejrzenie, jakby się czego obawiał; co wzięto za przestrach pochodzący z wewnętrznego przekonania o winie i bojaźni kary. Niewinność i cierpliwość ks. Czarnkowskiego na najprzykrzejszą próbę wystawiona została.

Król rozkazał mówić bratu ks. Wojny, który w cudzoziemskim przepysznym stroju stojąc, starał się ciągle być na przedzie, aby ściągnąć na siebie uwagę króla i dworu.

Ten skłoniwszy się nieco zgrabnie i prawie zalotnie z miną wykwintnisia, której się wyuczył w podróżach u francuzów, odchrząknął i stanąwszy, jak by się miał bić na szpady, prosto i prawą nogą naprzód, tak mówić zaczął do króla.

— W licznych i długich moich podróżach po cudzoziemskich krajach, N. Panie — —

Zygmunt August przerwał mu nagle wołając:

— Nie o to Waszmości pytamy, czyś gdzie bywał, bo to łatwo poznać można ze stroju i zakroju, ale o złożenie świadectwa.

Przerwany w przygotowanej na prędce mowie zmięszał się pełen próżności dworak, stanął już lewą nogą naprzód i chcąc się w umyśle króla poprawić, a widząc że wszyscy wyraźnie studentów bronili, ozwał się natychmiast.

— Świadectwo moje N. Panie, krótkie będzie, nieznając sprawy i niczem w niej nie będąc, przebaczysz łaskawie N. Panie, jeśli oddając je, pobłądzę co, lub powiem nie wedle jego myśli. Król kiwnął głową niedbale, a że kawaler ciągle się w niego wpatrywał, przypisując nieukontentowanie które widział na jego twarzy temu, że stoją świadkowie popierać niemiłą mu stronę, zaczął się sam z sobą męczyć, aby takie wydać świadectwo, które jeśliby nie zaszkodziło zupełnie ks. Czarnkowskiemu — przynajmniej by mu także nic nie dopomogło. Jakoż odezwał się spuszczając oczy w ziemię i lekko podnosząc ramiona:

— To tylko powiedzieć mogę N. Panie, żem był razem z przytomnym tu ks. Czarnkowskim na wieczerzy u mego brata. A co się tycze jego uczestnictwa w tym rozruchu, o tem, tak ani owak powiedzieć nic nie mogę, bo nie wiem kiedy był rozruch. Być może że miał czas powrócić jeszcze ks. Czarnkowski na samo rozbicie Ichmości panów studentów.

Tryumfowali młodzi, szepty i krzyki nie tłumione już powagą króla, ozwały się zewsząd radośnie. — Cóż kiedy własne jego świadki nań świadczą? — pomyśleli wszyscy i rzucili jednozgodnie pogardliwy wzrok na księdza, który zarumieniony tylko trochę lecz nie zmię-

szany stał w milczeniu. Jeden biskup Samuel, nie zmienił twarzy i bacznem okiem tylko na obwinionego poglądał. Student jeden wyrwał się z grona i z zapaloną twarzą występując zawołał:

— Cóż N. Panie, kiedy właśnie jego świadki przeciw niemu świadczą?

W milczeniu powszechnem oczekiwano odpowiedzi obwinionego, który uporczywie milczał. Król zachmurzał czoło coraz bardziej i poglądał na biskupa Samuela, jak by chciał mu dać do zrozumienia, co myślał o tej sprawie.

Ten zaś co oddał tak niesłuszne świadectwo, bezwstydny wzrok wiodąc tu i owdzie po sali, rzucał czasem ukradkiem spojrzenie na wykwintne suknie swoje, czyli na nim tak leżały, jak sobie życzył. Ksiądz milczał.

Wystąpił z kolei świadek jego drugi, ks. Wojna, ale zeznanie jego brata i dwóch księży którzy przed nim jeszcze w kilku słowach rzecz opowiedzieli, jego zdanie zmieniło. Po niedługiem wahaniu, niechcąc zaprzeczać w brew swoim i gniewać króla, broniąc widocznie potępionego w oczach wszystkich księdza, tyle tylko powiedział:

— Nie mam nic więcej do przyłożenia N. Panie, do tego co mój brat miał szczęście złożyć do ucha W. K. Mości. Było tak, żeśmy wieczerzali z ks. Czarnkowskim; lecz co się stało po wieczerzy nie wiemy, bo i czas rozruchu niewiadomy.

— Za pozwoleniem W. K. Mości, odezwał się nareszcie obwiniony. — Ośmielam się przypomnieć księdzu Wojnie, że w pół prawie wieczerzy przybiegł chłopak oznajmując co się dzieje około WW. Świętych, że tam lud jakieś rozruchy poczyna.

Było to wpół wieczerzy jakem mówił, a wieczerza trwała blisko godzinę — rozruch zaś nie przeciągnął się i połowę.

Oczywista zatem rzecz, że gdym wyszedł ztamtąd nie mogłem zastać początku rozruchu, chyba nabiedz na jego ukończenie — jak się też i stało.

— Prawdaż to księże Wojna, odezwał się król, że wieczerza trwała godzinę?

Kawaler z cudzoziemskich przybyły krajów odezwał się z uśmiechem:

— O tem N. Panie, ani ja, ani żaden ze świadków sądzić nie może, bo zegarów u nas nie ma, a w rozmowie, która była żywa i wesoła, bicia wieżowych nie słyszeliśmy.

— Nie przypominasz-że sobie Waszmość, przerwał ks. Czarnkowski, że gdyśmy siadali 23. była prawie godzina, o czem właśnie mowa była, że się opóźniła wieczerza, i zegaru bicie słyszeliśmy stojąc w oknie. A gdyśmy odchodzili do domów, zatrzymywaliście się Waszmość, mówiąc że jest ledwie dwódziesta czwarta godzina.

— O tem, z uśmiechem prawie szyderskim odezwał się pierwszy świadek wpół do króla, wpół do obwinionego, mówiąc, o tem z przeproszeniem Waszmości nie całkiem przypomina mi pamięć moja.

Ksiądz milczał, król usta wykrzywił, wszyscy stronnicy studentów widząc oczewiste ich zwycięztwo naigrawać się po cichu zaczęli w obliczu króla z obwinionego, który się nawet nie odzywał.

Zdawało się że król chciał niby dopomódz księdzu obwinionemu, lecz każde jego pytanie nowy cios na księdza sprowadzało.

— Gdy więc obrażeni uporczywie przy tem stoją, żeś Waszmość był sprawcą tego zabójstwa, a ze świadków żaden się pożytek nie okazał, — trzeba było przynajmniej przywieść tu owego sługę, który, jeżeli pomnę dobrze, jakeś Waszmość mówił, w waszych sukniach wyszedł i za niego samego był wzięty.

Zwrócili się wszyscy, oczekując odpowiedzi niecierpliwie, król i studenci wlepili oczy w księdza, a on schylając głowę powoli i smutnie odpowiedział:

— Ten uciekł N. Panie.

Król głową i ustami poruszył, studenci rozśmieli się głośno, inni zdumieni stanęli. Ci nawet którzy znając dobrze ks. Czarnkowskiego, nie mogli ani na chwilę myśleć żeby on był sam zabójcą lub motorem zabójstwa, zaczęli się już wahać i na stronę studentów nachylać, widząc jak się wszystko przeciw niemu składało.

Chwila przykrego milczenia nastąpiła w sali, a oczy wszystkich bezustanku spoczywały na obwinionym, który nie zmienił twarzy, nie okazał po sobie niespokojności i milczał.

Cóż albowiem miał mówić, gdy wszystko, nawet to co myślał że go obroni, przeciw niemu się zwracało. Król zdawał się chwilkę namyślać, potem odezwał się z cicha:

— Sądowe *scrutinium* sprawy, w razach mężobójstwa używane, wyjaśni to, co my tu prędkiem badaniem obejrzeć ani sprawdzić nie możem.

— Gdy N. Panie — przerwał obwiniony, wszystko się na pozór przeciw mnie składa, jedynem mojem jest życzeniem, abyś W. K. Mość wyrozumicielów mi ku tej sprawie wyznaczyć raczył, aby podejrzenia któremi mnie obciążają przed światłem sprawiedliwości zniknąć mogły.

— Stanie się zadość Waszmość — rzekł król — teraz do was się odzywam, dodał spoglądając po studentach. Wielce mnie na siebie mieliście rozgniewanego za wasz postępek, który mi się wcale niepodoba — żeście uszanowania zapomniawszy z takim mnie onegdaj wrzaskiem naszli. Chociaż nie było przykładu dotąd by u mnie komu, najlichszemu i najmniej znaczącemu trudno było o przystęp. Ztąd to poszło, że dla nauczenia was na drugi raz rozumu, nie przyjęto w ówczas i nie przypuszczono. Teraz gdy wiem i uznaję sprawę, aby bez kary nie uszła, wielce o tem pomyślę. Ale ponieważ praesens ks. Jędrzej Czarnkowski nosząc suknię duchowną, do sądu naszego nie należy, dla tego całe tej sprawy roztrząśnienie i naznaczenie wyrozumicielów polecam przytomnemu tu teraz biskupowi Krakowskiemu Samuelowi (ten powstał i skłonił się poważnie), pod którego władzą ksiądz Czarnkowski zostaje.

Przyjmujecie Waszmość księdza Samuela?

Studenci milczeli.

— A wy, prędko odezwal się, czy bierzecie to na siebie księże biskupie?

Biskup odpowiedział, że nie raz pierwszy użyty będąc do łagodzenia podobnych sporów, będzie się starał równie szczęśli wie ten ukończyć, jak wiele innych załatwił.

Przytomny tam Jan Tarnowski spojrzał na biskupa, jak gdyby sobie przypomniał, że pozorną zgodę z Kmitą jemu był winien. Lecz studenci stali cicho, a z milczenia i smutnych twarzy wnieść było można, że się im sędzia nie podobał, bo wszyscy wiedzieli w jakiej był przyjaźni z obwinionym.

Lecz nikt ozwać się nie śmiał, ani przecząc, ani

dziękując — powaga króla, wysoka dostojność Samuela i zachowanie jego u Zygmunta Augusta, wszystkim usta zamykały.

Nie czekając odpowiedzi, król natychmiast wyszedł z posłuchalnej sali.

Tłum studentów coraz głośniej szemrząc i narzekając, rzucając najdziwniejsze obelgi na ks. Czarnkowskiego, wytoczył się także, nie słuchając nawet jak biskup wzywał ich na dzień następny, aby się ku niemu stawili. Zaraz też umknąć chcieli świadkowie ks. Czarnkowskiego, aby uniknąć rozmowy z nim i wymówek na jakie sprawiedliwie zasłużyli, miał jednak czas obwiniony zbliżyć się do brata ks. Wojny i skłoniwszy się rzekł:

— Pozwolisz mi Waszmość podziękować sobie za trud jaki zadałeś przybywając aż tutaj, chociaż bytność jego, przeciwko nadziejom moim, więcej mi zaszkodziła niżeli pomogła.

Jak gdyby nic nie słyszał, skłoniwszy się tylko od niechcenia umknął szybko P. Hiacynt, a za nim co prędzej jak od zapowietrzonego wszyscy świadkowie od księdza uciekli. Chciał nim odszedł także obwiniony zbliżyć się ku kilku znajomym osobom, które z biskupem rozmawiały, ale z podziwieniem ujrzał, że do kogokolwiek się przybliżył, każdy go zimno przywitawszy umykał pod różnym pozorem. Księża i panowie, którzy mu wprzódy przyjaźnemi się być zdawali, cofali się teraz od niego i unikali zdaleka. To powiększyło jego żałość i smutek, a niechcąc zrobić przykrości natrętnością swoją, tym którzy mu posądzaniem swoim taką krzywdę wyrządzali — umknął także z sercem zakrwawionem i żalem ściśnionem.

Nieszczęście jego szło za nim i dalej. W kościele i na ulicy, znajomi których spotykał, odwracali głowy aby go nie widzieć, nie odpowiadali na jego powitanie, lub uniknąć niemogąc, zimno i prędko zbywszy, uciekali.

Przekonał się na ówczas ks. Czarnkowski, że użalenia się studentów, a może i odgłos powszechny, iż ta sprawa źle poszła na jego stronę, uczyniły go pogardzonym i usunęły od wszystkich. Każdy teraz lękał się aby znajomość z obwinionym nie zrobiła mu jakiego kłopotu, nie zmusiła do wyznań, do stawania u sądu na świadectwo lub tym podobnie.

Biskup nawet Samuel, lękając się podejrzeń studentów, nie chciał się widzieć z księdzem Czarnkowskim, aby nie sądzono, że jego stronę trzyma i naradza się z nim o sprawie.

VIII.

Biskup Samuel.

Napomknęliśmy już nieco o Samuelu Maciejowskim biskupie Krakowskim, lecz wracamy do niego, przekonani, że o prawym człowieku nigdy dość, nigdy nadto mówić nie można. I tak przepada pamięć tych ludzi razem z wspomnieniem milionów ludu, którego tylko mogiły wskazują przejście przez ziemię ich wnukóm, nie pytając u mogił kogo kryją, zaprzątnionym sobą i życiem. Wieluż to ludzi ginie, po których nie zostaje dłuższa pamięć jak po ściętem drzewie lub zgnieconym robaku; a przecież byli to ludzie, ludzie dumni z tego że się ludźmi urodzili! I każdy z nich za życia powtarzał prawdy któreśmy tu wypisali, a każdy także pochlebiał sobie w duszy, choćby był najlichszym, iż dla niego potomność zrobi wyjątek z wielkiej reguły zapomnienia.

Przykro jest marząc o ludziach przekwitłych dawno, wcielając się w ich życie, widząc ich przed oczyma duszy — w sile wieku; przykro przypomnieć potem, że ich nie ma i że nigdy nie wrócą! — Historja i bajka czemże są od siebie różne? — że w pierwszej szuka

człowiek dla swej dumy pokarmu, w drugiej dla ciekawości; — wolę jednak ciekawość jak dumę i śmieję się z historji, a bardziej jeszcze z tych, którzy całe życie poświęciwszy na wykopywanie z grobu popiołów dawnych ludów i wieków, zrodziwszy na nowo zapomnianą lub przekręconą historją, sami idą spocząć tak daleko, że ich nikt nie odkopie.

Są to kozły w studni, po których grzbiecie wychodzi z jamy uwięzione zwierzę, a ich na swojem miejscu zostawia.

Biedni historycy, oni jak kopacze złota, oddawszy pamięci ludzkiej bohaterów i zbrodniarzy, sami zostają ubodzy w kopalni i giną uduszeni wyziewami, lub zasypani ziemią. Przeciwnie ci co bajki piszą; ich bohaterowie rozpływają się w powietrzu, oni zostają na widoku. Jeśliby kto, nie słuchając powołania, chciał z rachunku obrać taki sposób pisania, któryby mu jego *ja* wyniósł wysoko, niechże się strzeże historji, bo zginie.

My wrócim od niezgrabnego *preludium* do rzeczy.

Samuel Maciejowski urodził się, powiada Orzechowski, z familji Ciołków a domu Maciejowskich, w województwie Lubelskiem, z ojca Bernarda. Lecz że następnie wielkiego miał na świecie dójść znaczenia, każdy uzna, że nie mógł się urodzić jak się rodzą wszyscy inni ludzie. — Musiało jego przyjście choć małą jaką osobliwością się odznaczyć. — Orzechowski naśladując w tem Plutarcha, który gęsto podobnemi sypie przepowiedniami, opowiada jak słyszał w późnej starości od ojca biskupa Samuela, że w tę noc w której żona zległa, nie znajdując się w domu, miał być napomniony

we śnie, aby owo dziecię, które porodziła żona, Samuelem nazwał. Wybiwszy się zaś ze snu ojciec i wspomniawszy o żonie w ciąży zostającej i połogu bliskiej, czem prędzej do niej posyła z obwieszczeniem, aby jeżeliby powiła syna dała mu imię Samuel. Żona właśnie powiła syna i dała mu imię wedle życzenia mężowskiego. Dodaje Orzechowski, że do tego proroczym sposobem nadanego imienia całe się życie jego stosuje, czego my jednak pewno nie dojrzym przez kilka set lat, które nam je mroczą.

Dorósł w domu pod okiem ojca Bernarda młody Samuel i w tem co na onczas domowe wychowanie stanowiło, wyćwiczony został. A gdy lat doszedł takich, w których zwykle młodzi ludzie szukając szczęścia po dworach panów zwykli się byli rozbiegać, udał się do Piotra Tomickiego, biskupa Krakowskiego, gdyż nie do innego jak do duchownego stanu czuł powołanie. Tu rozwinął się korzystnie charakter i zdolności młodego jeszcze Samuela, który wielkie po sobie dając nadzieje i znacznie we wszystkiem rówieników swych przepisując, w skutek tego wysłany został do Padwy, sławnej na onczas ze swej akademii, ze swoich murów, bastionów i z urodzenia Tytusa Liwiusza. Tu to nabrał on nauki i poloru, słuchając krasomowstwa pod nauczycielem Romulusem Amuzeusem, a filozofii pod innemi niemniej pięknych imion i sławy przewodnikami.

Tak już wychowany i świata nie mało obaczywszy, co na ówczas równo się z nauką ceniło, bo należało wnosić, że z podróży nikt bezkorzystnie nie wracał, Samuel z Padwy wrócił do Polski, a że go Tomicki lubił i protegował, umieścił go u króla Zygmunta za wielkiego koronnego sekretarza, gdyż języki doskonale

posiadał i pisał równie wprawnie jak mówił.

Podobał się Samuel królowi — wprawny, pojętny, wyrozumiewający, w każdej rzeczy umiał znaleść środek, zaradzić.

Znał także swoje powołanie i odpowiadał miejscu, a często i ciągle prawie ocierając się o króla, zyskał jego szacunek, przywiązanie, i wpływu nabył wielkiego na jego umysł. Zrobił go najprzód Zygmunt kościoła Krakowskiego dziekanem, a wkrótce potem biskupem Chełmskim.

Rósł dalej w lata Samuel, a z nim sława jego we wszelkich sprawach, do których się kolwiek brał, rosła. Wstąpił na podkanclerstwo koronne, które — jak powiada Orzechowski, nazwisko urzędu różni się w Polsce słowem tylko, a jest w istocie jednem co kanclerstwo.

Nie dość tego, że z biskupstwa Chełmskiego wszedł na Płockie, dodał mu jeszcze król kanclerstwo koronne — chociaż prawo dwóch razem dostojności takich jednemu sprawiać nie dozwalało, został jednak dla Samuela zrobiony wyjątek, za jednozgodnem stanów zezwoleniem.

Na biskupstwie Płockiem nie długo posiedział; — umarł ów sławny Piotr Gamrat nieprzyjaciel Maciejowskiego a ulubieniec Bony, który w naszym języku zostawił pamiątkę swego życia. Po śmierci styranego pijaństwem i rozpustą Gamrata, na biskupstwo Krakowskie wstąpił Samuel, nie zdając kanclerstwa.

Pozwólmy teraz Orzechowskiemu mówić o nim. —

— „Wstąpiwszy tedy na tak wielką dostojność Samuel, tak się sprawował, że świątobliwością między biskupami, dostatkami zaś między kanclerzami celo-

wał. Życie jego albowiem nadewszystko było wstydliwe, spokojne i wstrzemięźliwe, do tego jeszcze przydawały mu ozdoby piękne i kształtne obyczaje, w których żadnego w mowie naprzykrzania, żadnej zapalczywości, żadnej nie było srogości. Przytem cierpliwie znosił obelgi, wytrzymywał a nie mścił się; zawziętości, którą odebrawszy choć mu dojmowała, tak w sobie ukrywał, że z temi, którzy go obrazili, łaskawie jak gdyby od nich obrażony nie był, rozmawiał, a czasem i dobrodziejstwa im świadczył. Ta dobroci i dowcipu sprawność jeżeli po inne czasy częstokroć, tedy najbardziej natenczas, w owej zawziętości na postanowienie królewskie w oczach stanęła — *) gdy rozumiano iż przyczyną jego był Samuel, co jednakowoż za świadectwem samego króla inaczej się miało.

Przetoż kiedy go niewinnie dla tej przyczyny rozmaici ludzie słowy i pismami szarpali, on wiedząc którzy byli, na żadnego nie miał gniewu, ani się mścić chciał i wszystko cierpliwością i łagodnością zwyciężał. — W mowach poważnym, w sądach łaskawym był, a ludzi luterskiego związku bardziej ustraszał groźbą, niż karcił surowem karaniem, zkąd niektórzy sądzili, że u siebie w swem biskupstwie lutrów przechowywał; ale sie to nie sprawdziło, bo nic co od religii odstępowało katolickiej nie cierpiał.“ — Zgoła pokazuje się że był świątobliwy a jednak umiarkowany — co się rzadko zdarza. Albowiem widzim często pobo-

*) Bardzo przepraszam, ale to tłómaczenie Włyńskiego, który z pięknej łaciny Orzechowskiego zrobił bardzo chropowatą polszczyznę.

żność zlewającą się z fanatyzmem i surowością, lub powolność zbytnią w grzech przeciw stanowi duchownemu przeradzającą się.

On wszystko umiał pogodzić. W pochwały te można by było nie wierzyć Orzechowskiemu, który sam potrzebując pobłażania, pobłażających mógł chwalić, gdyby wszyscy inni pisarze toż o nim nie powiedzieli, Łukasz Górnicki mianowicie, który długi czas u niego zostając, zbliska mógł go poznać.

Ten zaś ostatni wiele o nim dobrego napisawszy, i to nakoniec dodaje — że świątobliwością żywota był równy tym, których kiedy bez męczeństwa kanonizowano. Najdziwniejsza jednak była, iż z tej świątobliwości nie przyszedł nigdy do fanatyzmu, było to prawie cudem w owym wieku, kiedy rosnące herezje podwajały surowość duchowieństwa, albo go ku sobie pociągały, kiedy księża żenić się zaczynali, król otwarcie różnowiercom sprzyjał, a senatorów wielu błędy Lutra było przyjęło.

Co się tycze wymowy i stylu, w tych niemniej celował. Powiadali współcześni o nim, że gdyby w zgromadzeniu Bogów chciał mówić od Jowisza Merkurjusz, nie inszym kształtem i nie inszym mówił by językiem tylko Samuela Maciejowskiego. — Niepospolicie wysmażona pochwała!

Opowiada także na jego zaletę Orzechowski, że tak wytwornie i pięknie pisał po łacinie, iż Hieronim Giunci kardynał Seneński, który był w Rzymie kanclerzem powiadał mu, iż z nikąd tak pięknie pisane do Rzymu listy nie przychodziły, jak z Polski za kanclerstwa Maciejowskiego. Im bardziej się rozpatruje życie jego, tem mocniej mu się dziwować potrzeba, że nigdy, o ile

wiemy, władzy swej ani wpływu na złe nie użył, ani swojem wywyższeniem wynosił. Głośna była za jego pośrednictwem uczyniona zgoda między dwoma owego wieku sławnymi ludźmi: Janem Tarnowskim kasztelanem i Piotrem Kmitą wojewodą Krakowskim. Ci, gdy z różności zdań w sprawie kraju ciągle się swarzyli między sobą i od siebie stronili, ubolewał naprzód, że ze szkodą Rzpltej wielcy dwaj ludzie ciągle się różnią i nienawidzą, a oni dla niego trzeciego oba nie małą powolność i szacunek okazali, gdy za sprawą jego i pośrednictwem z sobą się zgodzili. — Taka jednak zgoda długo nie trwała, dumny Kmita znalazł co zarzucić, niemniej o godność swoją dbałemu Tarnowskiemu — znalazły się zdania, w których się różnili i przygasła nienawiść wybuchła na nowo.

Gdy zaś znowu dalecy byli od siebie i o zgodzie słuchać nawet z ust Samuela nic nie chcieli, trzymał się naówczas biskup tak, żeby ani jednego, ani drugiego nie obrazić i stać w średniej mierze. I nie łatwa to rzecz była, jak cytowany pisarz uważa, obydwom pokazywać przychylność, gdy się oba nienawidzili; — niebezpieczna nawet, bo mógł stracić przyjaźń obydwu.

Lecz czegoż rozum oparty na doświadczeniu i umiarkowaniu, charakter łagodny i nie cierpiący wybuchów, jakim był Samuela, czego nakoniec cierpliwość nie dokaże?

Doszedł do tego zwykłemi łagodności sposobami biskup, że ich nawet nieraz do pozorów przyjaźni przyprowadził, chociaż te nie długo trwały.

Na ostatnim sejmie Samuel stojąc z Tarnowskim ze strony króla przeciw posłom i Kmicie, popierał sprawę jego ożenienia dowodząc, że ono krajowi nic

złego przynieść nie mogło, a jednak przez to miłości powszechnej u posłów nie utracił a u króla więcej jeszcze zachowania pozyskał.

Górnicki który w kronice swojej przywodzi oprócz pochwał należnych jemu, mowę Przerębskiego, przy oddaniu po jego śmierci pieczęci królowi, sam u niego do końca zostawał.

Widzieliśmy że jemu król naznaczył rozeznanie sprawy studentów z ks. Czarnkowskim, które on przyjął, lecz młodzież szemrała, że w przyjaźni z nim zostając, mógł go zażądać bronić. Niesłuszne to jednak było posądzenie, bo biskup, acz z nim był w przyjaźni, jednakże widząc ogólne na niego wszystkich zniechęcenie, a raczej przekonawszy się że wszystkie pozory winy ciężyły na ks. Czarnkowskim, przygotował się do rozeznania tej sprawy tak ściśle i ostro, aby mu przeciwna strona nic zarzucić nie mogła. Skutkiem tego wszelkie podejrzenia chcąc usunąć od siebie, dał znać ks. Czarnkowskiemu, aby przez czas sprawy u niego nie bywał, iżby to pochopu złym ludziom nie dało do mówienia, że się oba znoszą i zmawiają. Lecz posłaniec biskupi, który dość już późną porą z takowem pismem do ks. Czarnkowskiego chodził, nie zastał go doma i zostawiwszy je poszedł. Pleban zaś, nie wiedząc nic o liście, bo do domu nie wstępując, swoim zwyczajem i potrzebą powodowany, wkrótce udał się do niego.

W oknach biskupiego domu błyskały światła, a słudzy w dziedzińcu pijący lub grający w kostki oznajmywali jawnie, że był w domu gospodarz. U drzwi służalec jeden przeciw zwyczajowi, z miną zafrasowaną

zbliżył się ku niemu i prosił go bardzo pokornie, aby nim wejdzie zaczekał na chwilę, aż zbieży dać znać o tych odwiedzinach biskupowi.

Poszedł, a ksiądz u drzwi pozostał i słuchać musiał, udając że nie słyszy, przycinków zgromadzonych pachołków i sług, którzy sobie jego sprawę opowiadali, powtórnie i szyderski wzrok rzucając na niego dość głośno powtarzali straszny wyraz — zbójca! — On stał i czekał. — Służalec wrócił i nic nie rzekłszy, drzwi mu tylko otworzył, on wszedł, a z nim do sali wszedł także ten dolegający wyraz zbójca ciężący na jego sercu, które sobie śmierć muchy lub robaczka chyba mogło mieć do wymówienia.

Na salach czekały go inne jeszcze przykrości i upokorzenia, na salach czekał go biskup kanclerz, dawny przyjaciel, który dziś witał go ozięble i prawie pogardliwie, sądził bowiem że list jego był odebrany, że ks. Czarnkowski spiesznie i gwałtownie ciśnie się ku niemu i czując się winnym, potrzebuje i przychodzi żebrać pobłażania i pomocy.

Biskup znał ludzi i uważał zawsze zdaniem swego wieku, że wielka ich liczba mylić się nie może, usłyszawszy przeto w koło szmer niepomyślny dla księdza, który w skromnej sukni swojego stanu wszedł w zgromadzenie najznaczniejszych państwa osób, złem okiem poglądających na niego, jeszcze się w swojem podejrzeniu ugruntował.

Tu czekały księdza Czarnkowskiego wszystkie próby jakich się spodziewał i nie spodziewał, widział dawnych przyjaciół, którzy nań patrzali jakby go nie znali, słyszał lub odgadywał szepty, które się rodziły gdzie się tylko pokazał, widział jak usuwano się i uciekano z miej-

sca w które szedł, jak nikt go słowem, ani skinieniem nie witał, widział w całej okropności wyrok, jaki na niego wszyscy wydali, patrzał niewinny i milczeć musiał i cierpieć. — Niepodobna nawet opisać cierpienia, których istota nie da się pochwycić, ani dotknąć — ten pot zimny, ten żar który nagle głowę rozpala, potem dreszcz znowu, potem niby łzy które niedojrzałe wpływają do powiek i wracają nazad do serca, to milczenie okropne, które inni biorą za strach i wyznanie winy, a które jest tylko zdumieniem i żalem. W tym stanie duszy jedno przyjaźne słowo otwiera niebo dla człowieka, lecz któż je wyrzec zechce?

Obwiniony próżno szukając, do kogoby mógł przemówić lub zbliżyć się, przypatrzywszy się swemu nieszczęściu z bliska, wyszedł z mieszkania biskupa ze łzami w oczach, bo nie mógł dłużej ścierpieć żywego widoku swego potępienia niesprawiedliwego, który mu serce rozdzierał. — Lecz cierpienie wyszło z nim razem i wyraz — z b ó j c a — którym go przywitali służalce kiedy przechodził, trącając go zuchwale, mieniąc go niższym od siebie i nie ustępując mu drogi.

Tuż za mieszkaniem biskupa ujrzał ks. Czarnkowski postać jakąś czarną i małą, przemykającą się blisko, która śmiejąc się złośliwie, krzyknęła mu do ucha:

— Wracasz od biskupa, czy ci przyrzekł że będziesz niewinny?

Postać znikła i znowu pot zimny oblał mu skronie i dolegające cierpienie ścisnęło go za serce, bo widział że z jego przyczyny posądzono nawet biskupa.

Wróciwszy do domu znalazł w nim nowe przykrości, przeczytał list który nań czekał, i stanął osłupiały załamując ręce i powtarzając sobie:

— Czegożem tam chodził!

Wnet wytłómaczył sobie zimne przyjęcie biskupa Samuela, i gdyby umiał, byłby swój los przeklinał, który go gnał w najprzykrzejsze wypadki. Lecz przekleństwo ust jego nie skalało, ukląkł i modlić się zaczął. Wspomnienie przeszłych rzeczy wmięszało się i do modłów, przerwały się pacierze, on klęczał i z zalamanemi rękoma, z okiem bez wyrazu wlepionem w obraz swojego patrona wiszący nad łóżkiem, myślał o przeszłości, drżał nad swym losem. — Bo gdzież były dowody niewinności przeciw tylu pozorom że był winien? Pierwszy raz w życiu nie dokończył modłów wieczornych, padł na łoże i utrudzony cierpieniem zasnął.

We śnie widział znów tych służalców, których spotkał przed mieszkaniem biskupiem, urągających mu się okropnie, widział jak na nim darto suknie duchowne, jak ścierano cegłą z czoła święte oleje, jak go wiedziono na rynek, na plac kary pamiętny śmiercią Malcherowej, czuł jak go piekły płomienie, jak go dusił sznur i zimny miecz chodził po jego szyi, czuł jak go cięto w kawałki i słyszał śmiechy ludu i naigrawania. Straszny był to sen, sklejony z najszkaradniejszych wyobrażeń mąk i upokorzenia, a on przetrwać go musiał tak mocno, jakby żył na jawie, bo wypadki które go sprowadziły, były świeże jeszcze a urażenia nie zatarte.

Zbudził się gdy dniało, sen plątał się jeszcze po jego mózgu, ale chwila modlitwy rozbiła jego resztki i poszedł do kościoła mszę odprawiać. — Nie znalazł nikogo ktoby mu do mszy chciał służyć, a pobożni słuchacze gdy wyszedł do ołtarza z kościoła uciekli.

Przed offertorium jeszcze przyniesiono mu do ołta-

rza rozkaz, aby kapłańskie obowiązki do czasu oczyszczenia się zupełnego z winy zawiesił. Z pokorą i smutkiem zszedł niekończąc mszy ze stopni i widząc odjętą sobie ostatnią pociechę publicznych modłów i ofiary, rozebrał się z ornata, odstawił kielich, który zakrystjan szybko na bok usunął, i w ciemnym zakątku tegoż kościoła, w którym niegdyś celebrował nieraz, wznosząc z mnogim ludem modły do Boga, nie mogąc dziś nawet mszy odprawić, jak gdyby ręce jego kalały ołtarz pański — padł krzyżem na zimnej podłodze i z twarzą wlepioną w marmur, wylał łez kilka, łez których nikt nie czuł i nie widział, które za chwilę zatrzeć miały pogardliwie nogi przechodniów.

A gdy tak leżał przyszły mu na myśl spokojne dziecinne lata, kiedy był niczem tylko szczęśliwym. Wspomniał matkę i dom i rodziców, braci i siostry, a potem ogień poszedł po jego głowie, gdy sobie dzisiejszy stan swój przypomniał. — Długo, długo krzyżem leżał — i tak lud omijając go, naigrawał się mówiąc, że umyślnie to robi, aby się pobożnym pokazać. Wstał nareszcie, poszedł i zamknął się u siebie. — Lecz i tu z ulicy dochodziły go słowa, które przechodzący w okna jego domku obelżywie rzucali.

Ciężki to był krzyż do zniesienia!

Tegoż dnia przywołano go do ks. biskupa Samuela na sprawę.

Tu znalazł ks. Czarnkowski seniora Mikolaja Szatkowskiego i jego kolegów, a żadnego ze studentów.

Biskup chodził żywo po komnacie i znać było z jego twarzy że się gniewał. Witającemu go księdzu zimno odpowiedział, a po chwili odezwał się do seniorów głosem, który się starał ułagodzić a w którym pomimo

tego przebijał się cień nieukontentowania.

— Przynieśliście mi Waszmość pismo od studentów, które kogo innego jak mnie silnie by oburzyło. Co znaczą te płoche wymówki studentów, dla których niby stawić się nie chcą do mnie na sąd? Są to zasłony, pod któremi się ukrywa to, iż mnie posądzają o zmowę z ks. Czarnkowskim. Takie posądzenie innyby na mojem miejscu srogo ukarał, lecz znacie mnie Waszmość, żem sam człowiek i Bogu tylko karę zostawuję. On świadkiem moim, że bratu bym rodzonemu nie darował, gdyby się winnym ukazał. Odtąd jak ks. Czarnkowski srogo obwinionym został aż do czasu w którym się usprawiedliwi, zerwałem z nim wszelkie dawne zażyłości stosunki.

Spytajcie go sami Waszmość, czyli nie odebrał ode mnie pisma, w którem go prosiłem, aby dla uniknienia podejrzeń do końca sprawy bywać u mnie poprzestał? Nie ja winien jeśli się prożbom moim zadosyć nie stało, jeśli ks. Czarnkowski lekceważąc spokojność moją, rzucił na mnie nowe szmery i podejrzenia wczorajszą swoją w moim domu bytnością.

— Raczysz W. P. M. wybaczyć mi ten krok, odezwał się obwiniony, bom naówczas nic jeszcze o liście który mnie w domu czekał nie wiedział.

Biskup nic już nie odpowiedział, siadł tylko, list studentów rzuciwszy przed sobą na stół, podparł się i milczał chwilę. Potem odezwał się:

— Powiedźcie Waszmość im, że daruję nieroztropnej młodzi, że się na czas naznaczony nie stawiła, jakem przywykł za Boskim przykładem wszystkie przebaczać obelgi.

Senior z kolegami stał cicho i rozważał zapewne

nieśmiejąc się ani słowa odezwać, widząc ks. Samuela przeciw zwyczajowi swojemu poruszonym i nieukontentowanym.

Potem ks. biskup rozpoczął sąd i naznaczył od siebie z między księży wyrozumicielów, a chcąc aby go w wyborze ich nie posądzono o stronność dla obwinionego, wybrał takich, którzy osobiste mieli powody sądzenia na stronę studentów, bo z zazdrości lub pochlebstwa nie cierpieli ks. Czarnkowskiego.

Obwiniony zaś niechcąc, aby odrzuceniem wyrozumicielów rzucić na siebie większe podejrzenie, aby go posądzono że się ich lękał, zezwolił na nich i na liczne przykrości i niewyrachowane skutki sądu, który składać mieli osobiści jego nieprzyjaciele.

Ufał niewinności swojej.

Naznaczano więc dzień i godzinę na scrutinium, gdzie obie strony świadków sobie postawić miały i sprawę tę jak najpilniej roztrząsać, gdyż od króla i biskupa zalecono było, aby nic nie opuszczać na obie strony i bez żadnych względów według najściślejszej sprawiedliwości rozebrać.

Odeszli uspokojeni seniorowie, gotowali się księża mający zasiadać w sądzie, a Czarnkowski milczący i smutny, niosąc w pamięci surowe obejście się wprzódy tak przychylnego mu biskupa, wrócił do samotnego mieszkania walczyć z myślami swemi.

IX.

Sprawa.

A wszakoż inkwizycja tak o rany przeznaczona jako i o głowę i scrútinium ostateczne pod przysięgami od szlachty i od innych ludzi wszelakiego stanu, onego miejsca gdzieby się to stało sąsiadów, przez tenże sąd ziemski, zezwawszy każdego z osobna i osobliwie pytając, żeby drudzy nie słuchali. Gdy będzie jeden każdy z nich pytan, któryby o przerzeczonych rzeczach jaką wiadomość mieli, ma zachowano bydź: a to przeto, aby niewinny za winnego nie był obwinion i winy odnosił.

Ekscepta a zwyczaje Wdztwa Mazowieckiego. Sejm r. 1576.

A tak rozpoczęła się sprawa bez zwłoki. Między wyrozumicielami zasiadł ksiądz Jan Przerębski proboszcz i administrator biskupstwa Krakowskiego, człek we Włoszech wyćwiczony w wymowie i chytrości, który na księdza Czarnkowskiego od dawna złym okiem patrzał*). Inni częścią także niechętni ku niemu, częścią okolicznościami nakłonieni, aby o nim źle sądzili, zaj-

*) Znacznie później dopiero pogodzili się i zaprzyjaźnili.

mowali ławy. Stawali od studentów na popieranie sprawy seniorowie z kolegami i kilkudziesiąt świadków, już to ze studentów już z mieszczan uproszonych, ks. Czarnkowski sam jeden stał od siebie a z nim znagleni sądowem wezwaniem pierwsi jego świadkowie. Świadków prowadzono po jednemu i wyprowadzano, gdy drugi przychodził.

Naprzód wysłuchano świadectwa kilkunastu studentów, którzy rzecz jak była opowiadali całą i piorunowali na ks. Czarnkowskiego, dowodząc że w ciągu całego wypadku stał we drzwiach domu z kijem, i ludzi wysławszy na ich pobicie, jeszcze ich do tego zachęcał jestami i słowy.

II.re Wysłuchano naocznego świadka Filipa Sawickiego, który opowiedział, jak z okna swego własnego domu widział wszystko i że z tej przyczyny zaczętego różańca dokończyć nie mógł. Mówił ten także że żonie swej pokazywał ks. Czarnkowskiego, stojącego na progu domu. A żona pani Filipowa przytomna skłoniwszy się zasiadającym i przystąpiwszy pod sam nos zasiadającemu z fartuchem podniesionym do twarzy, toż samo potwierdziła. Rozumie się że jej świadectwo tylko jako dopełnienie mężowskiego się uważało.

IIIcie. Płatnerz Mateusz Duda opowiadał, że pracując w płatnerskiej kuźni swej, wyleciał był z niej na hałas który się zrobił w ulicy i widział studentów uciekających i rozpierzchnionych, a koło niego przebiegali dwaj ludzie którzy bili studentów, a potem trzeci.

— Ten trzeci, mości sędziowie, rzekł płatnerz wpatrując się w kogoś stojącego w kącie, zdaje mi się że ten jest.

I wskazał palcem na sługę, który stał za panem

Hiacyntem Wojną z twarzą czerwoną i gębą otwartą. Zrobił się szmer na sali, człowiek ten chciał uciekać i wcisnął się między ciżbę w drzwi stojącą, ale go u drzwi złapano i przyprowadzono wyrywającego się przed pytających.

Zrobił mu pierwsze zapytanie ks. Przerębski.

— Jak się zowiesz? — wiele masz lat? jakiego jesteś stanu?

— Jestem Tomasz Sosnowski, mam lat nie przypominam sobie wiele. —

— Jakiej jesteś religji?

— Tego nie wiem.

— Jakto nie wiesz?

— Nigdy o tem nie myślałem.

— Czy umiesz pacierz?

— Nie, nie umiem.

— Czy byłeś chrzczony.

— Może i chrzcili mnie kiedy, ale bardzo to dawno być musiało, bo nic nie pamiętam.

— Zkąd jesteś rodem?

— Nie wiem proszę Miłości Waszej! ale jak zapamiętam, byłem pastuchem gęsi u panów Wojnów. Potem wzięto mnie do usług do dworu i oddano starszemu paniczowi, jak jechał do Włoskiej ziemi, a potem raz i drugi, gdy wróciwszy z obcych krajów powtórnie wędrował. Teraz wróciliśmy obydwa.

— Nie jesteś więc katolikiem?

— Zapewne jestem, ale o tem nie wiem.

— Teraz u kogo zostajesz?

— U mego pana.

— Któż jest twój pan?

— Znajomy zapewne — ot tam stoi — i wskazał

palcem na pana Wojnę, przyszedł tu na świadki, to i ja się za nim wcisnąłem. P. Hiacynt zarumieniony usunął się nieco, a oczy wszystkich zwróciły się na niego.

— Z jakiego powodu znajdowałeś się między sługami ks. Czarnkowskiego?

— A bo ja to prowadziłem tę kobietę, o którą poszedł spór, i mnie to te szalone studenciska błotem tak brzydko obrzucali. Jak też ja zobaczyłem że ich biją, to i ja bić zacząłem.

— Czy raniłeś, lub zabiłeś którego?

— Jak Bóg miły, pod mój kij nie patrzałem.

— Czy widziałeś że ks. Czarnkowski was zachęcał do bicia studentów, czy nie mówili ci słudzy, że z jego rozkazu to robili?

— Nic nie mówili, tylko jakeśmy już bić zaczęli, tak oni obróciwszy się ujrzeli, że ten oto ksiądz pono stał we drzwiach i kiwał na nich kijem, aby tłukli co wlezie.

— A tyż to widziałeś?

— A widziałem!

— Czy ten sam był ksiądz którego tu widzisz?

— Musi być ten sam, kiedy tak powiadają.

— Czy przysiężesz na to coś powiedział?

— Gotów jestem i przysiądz, kiedy tego będzie potrzeba, umiem ci i nauczyłem się po obcych krajach tyle przysiąg, żebym i za dzień cały nie wygadał.

— Nie jesteś więc katolikiem? przysiężesz na krzyżu i Ewanjelji.

— Przysięgnę i na ewanjelję!

— Wiesz-że co to jest ewanjelja? zapytał jeden z zasiadających.

— Słyszałem, jest to wielka książka w skórę oprawna z klamrami.

Księża spojrzeli po sobie i ruszyli ramionami pytając się wzajemnie, jaką by mu przysięgę naznaczyć wypadło, on stał i wąsa kręcił.

— Potrzeba jeszcze, ozwał się nareszcie jeden, abyśmy wiedzieli w co wierzysz.

— W co Waszmość każecie, to ja będę wierzył, odpowiedział spokojnie Tomasz.

— Wierzysz, zapytał jeden, w zmartwychwstanie? w duszę?

— Wierzę, ale tego nie rozumiem, rzekł Tomasz.

— Wiara obejdzie się bez rozumu, — przerwał jeden z sędziów, żartując.

— Wiele jest Bogów? zapytał drugi ksiądz.

— Oto pytanie, śmiejąc się odpowiedział sługa, czy ja ksiądz żebym o tem wiedział — kto ich policzy? — Co kościół, to Bóg. A tyle widziałem kościołów, osobliwie w Rzymie! Bóg wie, wiele jest Panów Bogów!

— Pan Bóg w wielu jest osobach?

— Pierwszy raz słyszę, że pan Bóg jest w osobach.

— Czy umiesz znak krzyża Świętego położyć na sobie — zapytano znowu.

— A którą ręką? — zapytał sługa wyciągając obydwie.

Ksiądz Przerębski po tej odpowiedzi rozkazał go pachołkom miejskim wziąć i odprowadzić do więzienia, pókiby dalszych względem niego nie uczyniono rozporządzeń.

Po IVte. Stawali jeszcze świadkowie liczni ze strony studentów, którzy wszyscy z małemi odmianami toż samo co poprzedni uznawali.

Przyszło nareszcie do strony ks. Czarnkowskiego i słuchano było? Naprzód jego zeznanie — powtóre księdza wikarego Wojny, jego brata i dwóch Bernardynów. Pokazało się z tego, że był pod ówczas ks. Czarnkowski u nich na wieczerzy, kiedy się ten rozruch począł, lecz w prędce wyszedł, a nikt dla dojścia lepszego wypadku nie chciał czy nie umiał powiedzieć godziny, kiedy się to poczęło, i kiedy wyszedł ks. Czarnkowski. Przez oznaczenie bowiem czasu mógł się usprawiedliwić obwiniony i okazać, że natrafił już na samo rozpierzchnienie studentów. Stanęło na tem, że świadkowie nic a nic mu dopomódz nie mogli.

V. Prosił ks. Czarnkowski, aby miejskiej władzy wyszukać rozkazano sługę owego, który, jak on dowodził, w jego się suknie po pijanemu przebrawszy, wyszedł na próg domu krzyczeć na swych towarzyszów sług i z przyczyny ciemności wzięty został za samego księdza.

VI. Odpowiedź dano iż zalecono zostało władzy miejskiej szukać go jak najpilniej.

VII. Z wielkiem podziwieniem wszystkich wprowadzono okutych w łańcuchy sług dwóch ks. Czarnkowskiego, którzy w owym rozruchu zabili kilku studentów. To ulżyło nieco obwinionemu, który zaczynał mieć nadzieję, iż się za pomocą ich uniewinnić i oczyścić potrafi.

VIII. Pachołkowie miejscy złożyli doniesienie jakim sposobem owi słudzy uciekający do Wieliczki, gdzie rodziców i krewnych mieli, w drodze poznani przez jednego szlachcica zostali i za daniem wiadomości do wsi połapani i do Krakowa pod ścisłą strażą dostawieni.

IX. Przy natężonej wszystkich ciekawości rozpoczęło się badanie dwóch służalców.

Pierwszy z nich zeznał wszystko, tak, jakeśmy to już nieraz opisali, a gdy przyszło do głównego zapytania, czyliby to czynionem było z rozkazu ks. Czarnkowskiego, odpowiedział:

— Gdy już studenci rozgonieni i pobici zostali, obróciwszy się ujrzeliśmy, chcąc już wracać do domu, że na progu domu stał ks. Czarnkowski i machając kijem do dalszego bicia nas zachęcał.

Był-że to pewno ks. Czarnkowski? zapytał ks. Przerębski.

— Niezawodnie! odpowiedział sługa.

— Słuchaj, odezwał się w tej chwili ks. Czarnkowski, nicem ci w ciągu twojej służby u mnie nie przewinił, za cóż niesłusznem świadectwem pociągasz mnie za sobą do tak srogiej odpowiedzialności? Czyż, gdyście oba wrócili i gdyście mi opowiadali, żeście spełnili moje roskazy, czyż nie pokazałem wam naonczas leżącego na łóżku trzeciego pijanego w sukni mojej i z kijem jeszcze obok, z którym do was na próg domu wychodził? Wy dopiero zobaczywszy, iż to nie ja byłem i nie roskazawszy nic, bronić także nie myślę od kary za szkaradne zabójstwo, pouciekaliście ze strachu.

— Tego nie pamiętam — odpowiedział po cichu sługa odwracając się, a świadkowie studentów i przytomni studenci głośnym śmiechem napełnili salę. Sędziowie pospuszczali głowy; pisarz odpowiedzi badanych pilnie spisywał, tuż koło nich siedząc na ławie.

Wszystko szło na opak ks. Czarnkowskiemu, ale chciał jeszcze raz ostatni spróbować i zapytał sługi po chwili:

— Wszakżem przecie, jak sam wiesz, nie był domu pod początek tego rozruchu?

— Owszem, byłeś Waszmość, odpowiedział sługa bezczelnie. Sala sądowa zagrzmiała znowu śmiechami przeciwnej strony, a obwiniony jakby piekelnie cierpiał męczarnie, zakrył oczy rękoma z rozpaczy, spuścił głowę i siadł.

Drugi sługa toż samo zeznawał, prócz wszelkich szczegółów przeciw ks. Czarnkowskiemu, niechcąc już zapewne przez litość nad dawnym panem położenia jego pogorszać.

Opowiadał że był pijany, że dopuścił się tego rozboju, nie będąc przy swoim rozumie, że nie jest pewien czy ta osoba co stała na progu był sam ksiądz. Zeznawał nareszcie że widział sługę pijanego leżącego w sukniach księżych i kij obok niego, że nakoniec dowiedziawszy się z ust swego pana wspólnie ze swoim towarzyszem, iż nie on, ale ów pijany — wychodził ich zachęcać na próg domu, zalękłszy się uciekł.

Zeznał jeszcze i oświadczył gotowość poprzysiężenia swoich dowodzeń, że pod początek rozruchu ks. Czarnkowskiego nie było w domu.

Znowu nadzieja oczyszczenia się uśmiechnęła obwinionemu, odetchnął wolniej, że nie broniony dotąd przez nikogo, choć jednego człowieka miał za sobą i sprawiedliwością, lecz tę pierwszą chwilę roskoszną przerwał szum na sali groźnej strony przeciwnej, który nawet nie dał dokończyć słudze zeznania. Studenci i ich świadkowie krzyczeli iż świadek był przekupiony, co pierwszy sługa petwierdzał także chcąc poprzeć zeznania swoje przeciw ks. Czarnkowskiemu.

Nie dano nawet mówić obwinionemu, ani słudze opo-

wiadać dalej świadectwo swoje, i z wielkiem wykrzykiwaniem na przewrotność i niegodziwość księdza, na którego od strony przeciwnej spadały bez ustanku obelgi, śmiechy i urągowiska, resztę sądu na dzień następny odłożono.

Znalazł jeszcze czas ks. Czarnkowski prosić na nowo, aby dołożono starań do wynalezienia sługi, bez którego uniewinnić się nie mógł, na co mu odpowiedź dano, iż król J. M. zdawna polapać tych wszystkich winowajców miejskiej straży polecił. Po czem oznajmiwszy świadkom przysięgę na dzień następny, dając im noc do namysłu, rozeszli się sędziowie i strony za niemi.

Nazajutrz gdy się znowu zebrano, doniesiono najprzód, że przypadkiem pijanego i przed ludem szablankującego *) uchwycono pod wieczór sługę, na którym były ostatki nadziei ks. Czarnkowskiego. Uradowało go to nie mało, jak każdy wyobrazić sobie może, lecz prędko przyszły mu myśli insze, myśli smutne, wspomnienie wczorajszych bezczelnych zeznań pierwszego sługi wyraźnie nań namówionego. Słusznie po poprzednich wypadkach można się było lękać, aby i ten dla uniewinnienia siebie z przestrachu nie wyznał fałszywych zupełnie rzeczy, i zataił to, o czem może dla pijaństwa nie doskonale pamiętał, że przebrany w suknie księże stał nawczas na progu, gdy jego towarzysze trzeźwiejsi studentów zabijali. Myśl ta tem była bliższa prawdy, że sługa ów o nic więcej nie będąc obwiniony, mógł się i lekkiej ostatniej swojej winy wypierać dla zupełnego oczyszczenia się. Radość to więc była ze

*) Żartującego, błaznującego. — Stary wyraz.

smutkiem połączona i przestrachem, a że mimowoli udręczenie jego duszy malowało się na twarzy, radowali się studenci sądząc, że pojmanie ostatniego sługi, a tem samem utrata pozostałej wymówki była strachu przyczyną.

Rozeznawcy sprawy przystąpili naprzód do przysiąg, które wczorajsi świadkowie wszyscy na przygotowanym krzyżu i ewanjelji wykonać mieli.

Uczynili to naprzód bez wahania prawie wszyscy świadkowie ze strony studentów, warując jednakże (co nie mało pomogło obwinionemu), że na to przysięgać nie mogą iż go widzieli, bo po ciemku łacno oczy zdradzić mogą.

Mimowoli zapisać musieli to zeznanie rozeznawcy, co zmieniło po części zdanie niektórych z nich mniej przeciw plebanowi uprzedzonych.

Przeszłego dnia nieumiejętny w wierze Tomasz, noc tylko przebywszy w ręku duchownych, stawił się nazajutrz ochrzczony warunkowo, umiejąc już główną modlitwę *Credo* i zasadnicze wiary prawidła, wyznając że jest katolikiem, a tem samem mogący już składać przysięgę zwykłą. Gdy więc po panu Wojnie na niego kolej przyszła, przysiągł sam jeden tylko ze wszystkich, że widział swemi oczyma ks. Czarnkowskiego i pewny jest jego współuczestnictwa w tym rozruchu. Szczęściem że on jeden tylko tak przysięgał, reszta usunęła z roty wszystko, co jakiejkolwiek podpadało wątpliwości.

Z powszechną niecierpliwością oczekiwano wprowadzenia sługi, mającego rozstrzygnąć sprawę swojem zeznaniem, i albo ocalić plebana, albo go zgubić, chcąc siebie ratować. Milczenie powszechne panowało w sali, obwiniony polecał się Bogu w duchu, świadek sta-

nął na przeciw wielkiego stołu, któren otaczali zasiadający.

Z radością ukrytą ujrzał ks. Czarnkowski jednym rzutem oka, że sługa był pijany.

Wiedział z doświadczenia, że człowiek ten nie był złym, a przy odwadze jaką pijaństwo dodaje i prawdomowności, temu stanowi umysłu właściwej, mógł się spodziewać zeznań pomyślnych.

Zapytany opowiedział, klnąc i drapiąc się w głowę, jak się ubrał w suknie księże, jak wyszedł na próg domu pijany, słowem wszystko co tylko pamiętał; lecz w miarę jak mówił rosła niespokojność i nieukontentowanie przytomnych studentów, wielu z nich wykrzykiwało lub tupało nogami, inni odgrażali się na sędziów i łajać ich zaczynali, a ta okoliczność, sama z siebie mała, rozgniewała ich i obróciła rzeczy w inną stronę. Czego sprawiedliwość i oczywistość wyjednać nie mogły, uraza osobista i chęć pomsty dokazała — pogróżki studentów i obelgi dotknęły ich do żywego.

Wysłuchano do końca zeznań sługi, przywiedziono go do przysięgi i zbiwszy w jedno wszystkie dowody za i przeciw, okazawszy godzinę i miejsce, które dla ks. Czarnkowskiego pomyślne się pokazały, dodając że nikt prócz Tomasza nie przysiągł na to że go widział, że sługa zeznał iż sam stał na progu, że nakoniec pierwszy sługa, który dniem przedtem dowodził, jakoby to był ks. Czarnkowski, i że się podczas rozruchu w domu znajdował, nazajutrz na to przysiądz nie chciał, zważając że Tomaszowa przysięga, dla złych wyobrażeń o jej ważności, za nic się liczyć może — ogłosili formalnie na zasadzie poprzednich dowodów: że *scrutinio facto* ks. Jędrzej Czarnkowski pokazał się niewinnie

w zapale obwiniony, a rzeczą samą bynajmniej do niczego nie należał.

Zaledwie ten wyrok przeczytano, w którym uznano sług za jedynie winnych i karze według całej surowości praw podlegających, sala zagrzmiała okropnym wrzaskiem, hukiem, tupaniem, piekielna wrzawa rozległa się w około, zadrżały od niej okna.

Powstali zasiadający, lecz próżno starając się zgiełk ten uspokoić, wyszli a studenci rozsypali się z tymże krzykiem po mieście.

Pospólstwo, ciągle ich stronę trzymające, wtorowało im wszędzie, i nic słychać nie było tylko narzekania w tłumie, w domach, na ulicy, a nawet po kościołach.

Studenci, powiada Orzechowski, po staremu, ponieważ raz winnym zabójstwa Czarnkowskiego ogłosili, na opacznem wyrozumieniu przestając, owych więzionych sług winować nie chcieli.

Ksiądz pleban, jak gdyby mu życie oddano, poszedł spokojny, lecz nim do domu nadążył, wstąpił jeszcze do najbliższego otwartego kościoła, a tam padłszy krzyżem ze łzami Bogu dziękował, że go z tak przykrej wyrwał ostateczności.

Lecz jeszcze wiele zostawało mu do cierpienia, bo któż z tych tłumów był przekonany? — Lud wszystek obwiniał go jeszcze, lud uporczywy w raz powziętem zdaniu jednogłośnie go potępiał, jeszcze za nim wszędzie brzmiały ulice obelgami, leciały wejrzenia pogardliwe i pogróżki. Cierpliwość tylko i niewinność stawił przeciw temu wszystkiemu.

Nazajutrz sąd miał się przed króla wytoczyć, a studenci wołali: że gdy zostanie bez kary, oni opuszczą Kraków, akademią, szkoły i pójdą wszyscy w świat.

Dla dogodzenia im, przekonania i uśmierzenia musiano jeszcze zbierać dowody i sprawę dalej ciągnąć.

W wieczór przybył do księdza Czarnkowskiego posłaniec od biskupa Samuela z prośbą, aby się ku niemu stawił.

X.

Rada studentów.

Czemu nie pamiętacie, żaki, że macie dwoje uszu do słuchania, a jedne usta do mówienia?

Nauczyciel do uczniów.

Tegoż samego wieczora, w domku na ulicy Kanonicznej zebrali się studenci. Pełne ich było podwórze, pełne mieszkanie i ulica. Narada odbywała się w środku domu, na podwórzu i ulicy, wrzaskliwa, pełna kłótni i swaru. Czasem uciszali się na chwilę, występował mowca, krzyczał, przeklinał i płakał w swej dzikiej mowie, wymowniejszy jednakże bez wątpienia od wielu owego czasu suchych, długich, usypiających oracyj, bez których się nie mógł obejść pogrzeb ani wesele, chrzciny, zaręczyny i biesiady.

W środku domku byli ci, którzy wiekiem i uważeniem między swemi celowali, tam nie rozumiejąc sami siebie wszyscy sobą zajęci huczeli razem, usiłując próżno nawzajem nakłonić siebie do milczenia i słuchania.

— Bracia! odezwał się jeden z pomiarkowańszych

wstępując na stołek — posłuchajcie mnie chwilę, proszę o głos! cicho! panowie bracia!

— Nic nowego nie powiesz! zakrzyknięto ze stron wszystkich — stare biedy tylko będziesz powtarzał, lecz czy możesz dać nam radę?

— Dam — odpowiedział mowca trąc dumnie ręką po czole — dam, posłuchajcie chwilę.

— Chwilę! — krzyknęli wszyscy, słuchamy! Mowca powiódł z góry wzrokiem po słuchaczach i tak zaczął:

— Mówicie Waszmość wszyscy że nie ma już dla nas ratunku, ja zaś tego nie widzę, bylebyśmy chcieli czynić wszystko z pomiarkowaniem i powoli.

— Powoli? przerwał jeden, nim słońce wejdzie rosa oczy wyje. Czego czekać? żeby i resztę nas pobili?

— Dajże mi kończyć, zawołał mowca. — Nie chciałem abyście czekali, ale też wymagać nie można aby spiesząc się dla nas ze sprawiedliwością, połamano zwyczaje i prawa.

— Przekupiony! krzyknięto w tłumie.

— Cicho! odezwali się insi, niech mówi, co ma powiedzieć.

— *Scrutinium* i rozeznanie sprawy, mówił dalej student, zrobiono jak się należało. Bo choć my prawa nie znamy, mówili ci, co na tem zęby zjedli, że rzecz szła porządnie. Pokazało się oczywiście że ks. Czarnkowski jest niewinny i żeśmy go niesłusznie oskarżyli.

Ledwie miał czas tych słów dokończyć, wrzaski dalej mówić mu nie dały, zakrzyczano ze wszystkich stron, że był ujęty i przekupiony.

— Jakto niewinny? silniej od innych zawołał jeden bliżej stojący, alboż my oczu nie mamy? czyśmy go wszyscy nie widzieli?

— A jednak, rzekł mowca, nikt na to przysięgać nie chciał. Można się pomylić, panowie bracia, ale nie ma wstydu, a raczej cnota obaczywszy się w błędzie, poprawić. Ksiądz jest niewinny, słudzy jego uwięzieni ukarani zostaną.

— Przekupiony! wrzasnęli wszyscy okropnie — nakazano ci tak mówić, kazano! precz z nim! przez okno go! zawiązać mu gębę niech drugich nie psuje!

— Słuchajcie! zakrzyczał mowca głośniej jeszcze.

— Na rany Boskie wam przysięgam, na zbawienie moje, że to co mówię z własnego przekonania. Słuchałem i patrzyłem na wszystko nie tak jak bym był obrażony, ale jak z boku obojętny i sprawiedliwy człowiek, przekonałem się.

— Cicho, cicho, przekupiony! zagłuszyli go wszyscy.

— Pokażcie mi tyle złota, niezrażony mówił dalej student, tyle złota, choćby w nowym świecie gdzie nim pono rzeki płyną, któreby mogło odmienić zdanie moje. Wiecie, że w ostatnim rozruchu straciłem krewnego brata, i myślicież że mi jego krew choć jedną noc dała przespać spokojnie? Nie — nie — nie dam, nie dałbym się przekupić. Lecz posłuchajcie i rozważcie sprawę zimnym umysłem, a sami to poznacie co mówię, i zamiast czynienia rozruchów, wrócicie do nauk spokojnie, czekając aż król ukarze winowajców.

Lecz już mimo wysileń dłużej mówić nie mógł, tłum otaczający go, tak był daleki od dzielenia z nim zdania, że niektórzy plwali na niego tupając i wrzeszcząc, aby prędzej mówić przestał. Trudno im jednakże było dokazać tego, póki jeden z zapaleńszych nie pochwycił za nogę stołka na którym stał i nie wywrócił ich razem. Mowca stojący na nim padł i trafiwszy nie-

szczęściem głową o krawędź bliskiego okna, rozbił sobie do krwi skronie. Na widok krwi odskoczyli wszyscy na bok przestraszeni spoglądając po sobie, krzykliwy tłum zamilkł, jakby czarami zmuszony do uciszenia się, a mowca nie zważając na ranę, porwał się szybko i krzyknął z większym jeszcze zapałem:

— Zbieracie się pomścić za krew sierot naszych, a jednego ze swoich zabijać chcecie?

— Nikt cię nie chciał zabić, odezwał się jeden, upadłeś przypadkiem.

— Widziałem przecie ja i wszyscy, jak ten oto co tak kryje twarz, stołek wywrócił podemną..

— Ale o to mniejsza, rany moje nic nie znaczą! większy wstyd temu, kto na swoich podstępami wojuje. To mówiąc mężnie otarł się suknią i stanął spokojnie patrząc na nich. Drugi wystąpił natychmiast i znowu zawołał:

— Słuchajcie! milczeli wszyscy, on brew namarszczył, ręce wyciągnął i zawołał:

— Kłamie kto mówi, że ks. Czarnkowski winnym nie jest. Pytajcie o to całego miasta, całe miasto powie że winien — wszyscy prócz jego przyjaciół, którzy się zapierają sprawiedliwości dla dogodzenia jednemu człowiekowi, prócz tych co zamykają oczy na łzy i ucisk biednych.

— Możecież powiedzieć, wy obrońcy Czarnkowskiego, że głos tylego ludu jest fałszem? nieznacież upoważnionego wiekami przysłowia — *Vox populi, vox Dei*?

— Cóż są za dowody jego niewinności? że przysięgać nie chciano? A toć sługa jego przyjaciela przysiągł, widzieliście sami jak go przed królem jeszcze odstępowali własne świadki i wezwani na pomoc przeciw nie-

mu świadczyli? Kłamie więc kto mówi że jest niewinnym, a gdy tak jest na cóż się ociągać, dobra sprawa nie potrzebuje powolnego postępowania. Zły niech się namyśla co ma robić, my idźmy się domagać sprawiedliwości, póki nam jeszcze nikt tego nie broni.

— A jeśli jej nie odbierzem?

— Jeśli jej nie odbierzem, pochwycił drugi z zapałem, pójdziem ztąd, opuścim nauki, opuścim Kraków i Polskę. Nie tyle świata co w oknie, pójdziem dalej. A zacz tu naszego co zostanie, poczembyśmy płakali, którenże ma kogo żałować, lub takiego co by go żałował? Co nas tu trzyma? Pamiętacie jeszcze może ten wiersz który nam niedawno tłómaczył ks. Adalbertus w poetyce:

Omne solum forti patria est, ut piscibus aequor.

— Co znaczy jeśliście zapomnieli, że mężnym i stałym każden kraj jest ojczyzną, jak rybie woda. Gdzie pójdziem wszędzie lepiej nam będzie jak tutaj. Niech pustkami stoją kolegia, niech nauki wyglądają napróżno ktoby przyszedł po nie, wszędzie jest litość i chleb dla biednych — wszędzie są nauki — pójdziem w świat!

— Pójdziem w świat! powtórzyli wszyscy, tak! pójdziem! — Powiemy im to w oczy, powiemy samemu królowi, że jeśli nas sprawiedliwość ominie, noga nasza nie postanie tutaj. — Zgoda?

— Zgoda!

— Bodaj przepadł marnie kto słowa nie dotrzyma.

— Bodaj przepadł! W świat! w świat!

— W świat! powtórzyli wszyscy.

I jeden z nich stanął w oknie i odezwał się machając ręką na znak aby się uciszyli do tych, którzy stali na dziedzińcu i podwórzu.

— Słuchajcie!

Ucichły wrzaski, i szmer tylko jakby mruczenie fali ulatywał po nad głowami tłumu.

— Słuchajcie!

Czy przyrzekacie jeśli nam sprawiedliwości na ks. Czarnkowskiego odmówią, czy przyrzekacie opuścić wszyscy razem miasto, kraj i nauki?

— Pójdziem! wrzasnął tłum jednogłośnie. Pójdziem choć na koniec świata, pójdziem ztąd!

Mowca słuchał chwilę tego krzyku rozlegającego się długo w około, potem machnął ręką i zlazł z okna uradowany. — Teraz, — zawołał, zostaje nam tylko panowie bracia iść znowu do króla i domagać się póty o karę na księdza, póki nam jej zupełnie nie odmówią.

— Tak! tak!

— A potem —

— W świat! — krzyknęli wszyscy — Bóg nas nie opuści. — Mowca znowu wlazł na okno i machnąwszy ręką czekał póki ucichli i odezwał się:

— Do domów, panowie bracia, dość wrzasku i krzyku, jutro reszta sprawy a potem w świat.

— W świat! w świat!

Z tym krzykiem głuchym a przeraźliwym, złożonym z kilkuset różnorodnych głosów, cienkich, wrzaskliwych, grubych i cichych, tłum powoli rozpływać się zaczął w różne strony. Widząc to mowca zlazł z okna, pożegnał jeszcze skinieniem ręki kilku znajomych i powoli, powoli mało kto znalazł się na ulicy, przechodnie mijali się tylko i cichość powróciła.

A z krat jednego okna mieszkania biskupa Samuela ktoś zatrzasnąwszy za sobą okno usunął się szybko. Był to sam biskup, który słuchał wszystkiego.

XI.

Kurka i kogut.

Powiem wam bajkę.
Niańka do dzieci.

Ksiądz Czarnkowski, jakeśmy już mówili, odebrał wezwanie, aby się do biskupa Samuela stawił na wieczerzę. Miłe mu było to wezwanie, bo w nim widział jawnie niewinność swoją i powrót przyjaźni kanclerza, który przekonany wedle doniesień rozeznawców od siebie naznaczonych, że ks. Czarnkowski był niewinnym, lekki na sumieniu, że się to wedle jego myśli, życzeń i nadziei stało, chciał mu pokazać tem zaproszeniem, że widząc uniewinnionym rad go będzie oglądał u siebie, a nikt już robić ztąd wniosków o pomoc lub zmowę nie będzie mógł, bo sprawa tak jak ukończoną była. Punkta, wedle których sądzić miano, podpisane i pieczęciami rozeznawców wzmocnione, były już gotowe.

Lecz skutkiem dawnych upokorzeń i strachu, choć cale niewinny, drżał jeszcze ks. Czarnkowski, choć już bojaźn kary na to przelęknienie wpływać nie mogła. Stugębny lud, młodzież, obwiniali z jego pryczyny króla, biskupa, sędziów, świat cały choć lekki na su-

mieniu, mógłże w takim razie zupełnie być spokojnym ks. pleban przed ukończeniem sprawy? Nie, zapewne — samolub jaki na jego miejscu, widząc oddalone własne niebezpieczeństwo a nie zważając na frasunki, jakie to drugim jeszcze sprawić mogło, byłby się radował, że sam biedy uniknął. Lecz daleki od tych uczuć pleban niespokojny, ledwie się ośmielał czasami z pokorą i spuszczonemi oczyma przebiegać ulice, milczał, nie narzekał, nie radował się i modlił się tylko Bogu. W modlitwie, dla duszy która do niej przywykła, która w niej szuka nagrody za swoje cierpienia, znajdzie się wszystko: nadzieja szczęścia lepsza od samej szczęśliwości, ufność w Boga i obojętność na złe, które jak wszystkie rzeczy tej ziemi koniec musi mieć.

Jeszcze się nie zmierzchało, gdy ks. Czarnkowski wybrał się do biskupa, obwinięty suknią swoją, z utuloną twarzą, aby lud nie zastępował mu drogi krzykliwie.

Przed biskupiem mieszkaniem jak wprzódy stali słudzy liczni, trzymający konie wierzchowe, pilnujący bogatych wozów i kolebek pańskich.

Ukazanie się jego w pośród nich, mina posępna i pokora wypiętnowana na całej postaci, sprowadziła znowu biednemu księdzu obelgi, szepty i zuchwałe potrącania służalców, ale on nie obrócił się nawet, jakby nic nie czuł i nie słyszał, i stanąwszy u drzwi ujrzał, że tą razą sługa nie biegając jak wprzódy pytać pana, puścił go natychmiast kłaniając się nisko.

U ks. biskupa mnóstwo było osób: brat jego ochmistrz, Stanisław Grabia, Tarnowski, Kmita, ks. Przerębski, Adam biskup Krakowski, biskup Chełmski i biskup Poznański, mieszkający naówczas przy królu, i wiele osób znaczących już to z dworu, już przypadkowo

znajdujących się w mieście, różnego stanu i wieku.

Jak tylko wszedł ks. Czarnkowski, szmer dał się słyszeć, wszystkie oczy zwróciły się na niego i goście spojrzeli na gospodarza, jak gdyby nie wiedzieli jak do niego przemawiać i jak się z nim obchodzić.

Była to chwila niespokojności, ustąpiono mu z drogi; biskup przywitał go poufale i miłe, posadził niedaleko siebie i zaczął z nim rozmowę w języku łacińskim, który oba doskonale umieli. Jak tylko to ujrzeli przytomni wróciła dawna wesołość, rozpoczęły się na nowo pourywane rozmowy, wszystko poszło jak wprzódy. Obejście się gospodarza przekonało wszystkich, że ks. Czarnkowski był niewinny, lub przynajmniej w tym domu za niewinnego powinien był uchodzić. Nikt już nie uciekał przed nim, a chociaż w rozmowie czuć było jakiś niesmak i niepewność ze stron obojga, wszystko szło jednak jak najlepiej na pozór. Ci co go dawniej unikali, wstydzili się tylko, że nie rozpatrując rzeczy, nie polegając na jego charakterze, dali się uwieść odgłosom ludu, posądzili go niesłusznie i upokorzyli. Im się zdawało, że to chwilowe upokorzenie stało jeszcze w umyśle plebana, ale on uraz nie pamiętał i cały oddany radości, że go choć teraz mniej zimno jak dawniej witają, chętnie o przeszłości zapominał.

Nie było już nikogo ktoby stronił od niego, przyjaźne słowa biskupa ukończyły wszystko.

Miało się już ku wieczerzy, gdy ktoś nowy wszedł do komnaty obszernej, w której znaczna część gości zgromadzona była.

Był to mężczyzna chudy, blady, z czarnemi oczyma, w dziwnym pstrokatym różnokolorowym stroju, którego krój również był jak barwa osobliwy. Włosy miał roz-

pierzchnione po głowie, a na wierzch tego odzienia ułożoną opończę czarną i zbloconą. Wszedł i nie przywitał nawet nikogo, tylko prosto poszedł do biskupa i całując go w rękę rzekł żartobliwie i wesoło:

— Zajrzawszy że się u Waszej Pasterskiej Mości kurzy w kominie, przyszedłem i ja tu. Niedarmom dworak, znam jak cudzy chleb smaczny.

— I dobrześ zrobił Stańczyku, rzekł biskup powolnie, żeś tu przyszedł, przynajmniej może rozweselisz nas nieco, bo wielu bardzo milczy i siedzi pospuszczawszy głowy. Powiedz nam co wesołego.

Stańczyk ruszył głową, mrugnął oczyma i odezwał się do biskupa:

— Nie moja to już rzecz teraźniejszych panów rozmarszczyć czoła, dziś ja nie ten com był dawniej. Stara gęśla z porwanemi stronami nikogo nie rozweseli.

To mówiąc powiódł ręką po czole i westchnął, ale to westchnienie tak było niezgodne z jego wesołym i niedbałym charakterem, że się z niego wszyscy roześmieli, jak gdyby co najweselszego powiedział.

Stańczyk albowiem był to sławny błazen królewski, jeszcze nieboszczyka króla Zygmunta, a następnie jego syna. Przy poniżającym na dworze królów urzędzie jaki sprawował, był na swój wiek dziwnym człowiekiem. Wyuzdany w mowie, jak powiada Orzechowski, wesołego humoru i wielkich zdolności; posiadał bystre pojęcie, które dopomagało jego dowcipowi do pochwycenia zawsze rzeczy z tej strony, z jakiej się ona najśmieszniej, najdziwniej wydawała. Przywykły do tego, tam gdzie inni widzieli żale, interesa, zajęcie — śmieszność tylko widział. Nie był to jednak dowcipniś jak inni sławni błaznowie królewscy. — Stańczyk śmiał się czę-

ściej z politowania niż dla wzbudzenia cudzego śmiechu. Lecz ludzie, nie rozumiejąc powodów które twarz jego suchą i pomarszczoną krzywiły, śmieli się, niewiedząc że się często sami z siebie śmieli. Stańczyk niedbając o łaski, zasłoniony swoim urzędem, śmiało wszystkim w oczy gadał co mu na myśl przyszło, bo się nikogo nie lękał. Cóż mu kto mógł zaszkodzić? co dopomódz? on niedbał o nic.

Zimny widz, z prawdziwie filozoficznem politowaniem śmiał się z tego co drudzy robili, a sam szedł drogą życia spokojnie z uśmiechem na ustach, z pogodą w duszy, bez nadziei, bez obawy. Życie jego ograniczało się na tem, iż patrzał na drugich; jak roślina pasożytna, przyczepiona na cudzem życiu, ssał z wypadków innych ludzi swoje życie, swoję zabawę, pożywne soki, które go utrzymywały.

Stańczyk choć błazen, wszędzie bywał przyjęty. Było to jednym z przywilejów jego, że mógł wejść wszędzie i wszystko widzieć. Ponieważ sam nigdy nic nie robił, tylko patrzał na drugich, pozwolono mu zato patrzeć wszędzie, patrzeć bez braku, patrzeć gdzie się podobało i mówić co mu ślina do ust przyniosła.

Któż by się nań śmiał obrazić, gdy król sam znosił co powiedział? — musieli znosić wszyscy drwiące słowa, a gorszy jeszcze uśmiech, gorsze jeszcze przeszywające wejrzenie Stańczyka.

Dla niego nie było wzbronnego miejsca — kościół, zamek, pokoje króla i panów, rynek, sądownia, wszystko było mu otwarte. A on z uśmiechem, który jak strój wyłączny jego stanu nigdy mu z ust nie schodził, szedł prosto, bez zastanowienia i przeszkody wszędzie. Gadał z każdym, choćby mu był nieznajomy, śmiał się

z każdego, każdy głupi należał do niego, każda śmieszność była jego własnością, chwytał ją, niósł i rzucał jak pastwę tym, którzy nie wiedząc z czego się śmiać będą, śmiać się jednak chcieli.

Stańczyk był niepospolitym błaznem, jego życie spędzone na próżniackiem wpatrywaniu się w ludzi dało mu ich poznać. Nieraz z rozpoczętego słowa, kiedy się kto zatrzymał w mowie, wyrywał mu z duszy resztę myśli i okrywał rumieńcem tego, czyją myśl cudownie odgadł.

Ze swoją pstrokatą suknią, z kołpakiem uszatym, z pokorno-zuchwałą miną, może był największym filozofem swojego wieku, bo najwięcej zastanawiał się nad wszystkiem, a najmniej dbał o wszystko.

Nie żartujmy z Stańczyka, Stańczyk był wielki człowiek, tak wielki przynajmniej jak jego współczesny Pszonka.

Przyszedłszy, jakeśmy powiedzieli, Stańczyk usiadł na ziemi koło biskupa, schylił głowę na ręce, ręce złożył na kolanach i w tej półnachylonej postawie, bawiąc się końcem swego kołpaka, poglądał zwyczajem swoim po zgromadzeniu.

— Wiecie Waszmość, odezwał się po chwili, że Tarnowski z Kmitą mają minę psa i kota, którym kazano pochować pazury i bawić się razem? — Patrz Waszmość jak przyjaźnie z sobą gadają. Dydka bym nie dał za to, że jutro będą wyrzekać na siebie, że nawet teraz jeden drugiego w duchu obelgami zarzuca.

Biskup spojrzał na Stańczyka z podziwieniem i trochą niechęci i odpowiedział:

— Daj im Waszmość pokój, dzięki Bogu że są już w zgodzie!

— Że są w zgodzie? pochwycił Stańczyk, tego Wasza Przewielebność nie mów, a spojrz raczej na twarz Kmity jak się czerwieni, blednieje, marszczy i wypręża, jak mu oczy latają, jak wąs skacze z wargami — ta mina na zgodę nie przystała.

Biskup spojrzał i zobaczył, że w istocie żywa była rozmowa między wojewodą a kasztelanem, a chcąc ile możności uwagę wszystkich od tego odwrócić, kiwnął głową, kaszlnął i rzekł:

— Cóż nam powiesz nowego a wesołego Stańczyku? Lecz Stańczyk nie słyszał tych słów biskupa, bo zacząwszy z ks. Czarnkowskim rozmowę, do niego się obrócił.

— Jak się masz męczenniku, rzekł — czy żyjesz jeszcze? czy cię jeszcze nie ukamienowali studenci — i jak się ma twoja sprawa?

Pleban chcąc uniknąć odpowiedzi, zarumieniony kiwnął tylko głową, a Stańczyk ze zwykłą gadatliwością mówił dalej:

— Dziwną masz sprawę na księdza — zaczęła się od niecnoty, a Bóg wie na czem skończyć się może! — I król biedny nie wie co w tem począć, i chciałby on i studentom gębę zamazać i Waszmości złego nie zrobić. Słyszałem dziś jak nasz ks. biskup zdawał królowi sprawę z tego.

— A gdzieżeś był naonczas? odezwał się biskup.

— Gdzie byłem? zwyczajnie — podedrzwiami podsłuchiwałem. Mnie to nie grzech, mnie i księdzu na spowiedzi wszystkiego słuchać wolno. Czy uważałeś ks. biskupie, że się król cieszył jakeście mu pokazali niewinność ks. plebana? Bądź dobrej myśli, nie uważaj na nic i niczem się nie frasuj, niech ludzie gadają co

chcą, byle nic sumienie nie gadało.

— Ty jak widzę, rzekł biskup, mówiąc tak, słowy protestujesz się przeciw ubiorowi i urzędowi swemu. — Godzisz się Stańczykowi tak poważne rzeczy puszczać z ust swoich?

— Przepraszam, odpowiedział Stańczyk, jeśli mi się czasem zdarzy poważnie co powiedzieć, to choć się po wierzchu nie śmieję, dusza moja sama się z siebie śmieje.

Gdy tak rozmawiali przystąpił ku nim Kmita zaczerwieniony, gładząc na przemian łysinę posiwiałą i wąs czarny.

— Do pioruna! rzekł zaraz do Stańczyka, gdybym był twoim królem, kazałbym ci klęczeć na grochu za to, że przyszedłszy tu siedziesz jak dziad kościelny z kwaśną miną i nikogo nie rozweselasz. Wiedz Waszmość, że na cudzą przyszedłszy wieczerzę, za to że ją jeść będziesz, powinienbyś przynajmniej nakarmić nasze głowy. — No! do roboty! śmiej się i rozśmieszaj Stańczyku!

— Ba, odpowiedział zagadniony, od stóp do głowy okiem przebiegając Kmitę. Cała torba śmiechu nie rozśmieszyła by teraz Waszmość.

— No czemuż to tak?

— Boś zły, panie wojewodo.

— Zły? ja — zły? zapytał Kmita okiem ponurem rzucając na Stańczyka, gładząc wąsa zdziwiony że mu jego tajemnicę wyrwano z duszy.

Stańczyk nie uważał na jego pomięszanie i mówił dalej:

— Dobrze to śmiać się kiedy jest z czego i z kogo, ale dziś mało do śmiechu — płakać by lepiej.

— Nie żartuj tylko, odezwał się Kmita, ty byś sie

gotów śmiać z rzeczy nad któremi byśmy płakali, bo każda rzecz ma dwie stronie *).

— Są i ludzie co mają dwie stronie — rzekł Stańczyk prędkie rzucając wejrzenie przecięte mrugnieniem oczu na Kmitę i umilkł. Kmita poprawił pasa i spojrzał na bok.

Zbliżył się Jan Jastrzębiec Ocieski, nie młody, ale uśmiechający się, głośno mówiący, wesoły i strojny — ten wyciągnął rękę do Stańczyka i rzekł: — A ty tu także z nami?

— Gdzie tylko są głupstwa z których się śmiać trzeba, tam i ja jestem, rzekł szybko błazen.

— No! dobrze, odpowiedział Ocieski — wyrwałem ci z ust nie bardzo pochlebne nam słowo, ale się musisz za to wypłacić — i powiedzieć nam co wesołego, jaką bajeczkę na przykład.

— Dobrze! dobrze! tak! niech co powie za pokutę, rzekł Kmita, a za nim odezwał się biskup.

— Stańczyku powiesz nam jaką bajkę, byle nie z tych, które przystojność obrażają.

— Czyście Waszmość małe dzieci, bym wam jak baba nad kołyską płótł bajki? Ale — zapomniałem żeśmy wszyscy dzieci, tylko stare.

Nie było się z czego śmiać, a jednak się wszyscy chórem jakby dla ulżenia sercu rozśmieli, a Stańczyk ruszył ramionami i milczał.

— No mów, odezwał się Kmita, dam ci za to na dzban wina.

— Mów bajkę! powiedz co wesołego, zawołali wszyscy cisnąc się ku niemu.

---

*) Forma zarzucona liczby podwójnej (*Numerus dualis*).

— Powoli, powoli, przerwał błazen — naprzód panie wojewoda daj co obiecałeś.

Kmita trzosik wysunął z pod sukni, dobył sztukę złota i rzucił ją dumnie, aby wszyscy zobaczyli co dawał, na kolana błazna, który ją schował szybko, kiwnął głową i zamilkł.

— A wasza bajka?

— Myślę właśnie o niej — odpowiedział Stańczyk, jak się dobrze namyślę, to wam ją powiem na przyszły rok.

— Bez żartów, prosim o bajkę, bajkę zawołali wszyscy gromadząc się coraz bardziej około niego i czekając opowiadania tem niecierpliwiej, że Stańczyk sławny był ze swoich powieści.

— Mów, mów, słuchamy.

— Ba! ba! tak to łatwo, rzekł powoli błazen, nie mam ja ani garbu w którym siedział dowcip Ezopa, ani jego głowy, ani ust jego, zkąd tak prędko uprząść wam nową bajkę z niczego?

— Cokolwiek! cokolwiek!

— No, dobrze, powiem wam o dwóch przyjaciołach i o opończy.

— Słyszeliśmy ją wszyscy.

— O starej babie i o kocie burym!

— Mówiłeś ją sto razy.

— O przyjaciołach królewskich!

— Stara.

— O dziewczynie i wężu!

— Wiemy ją, wiemy — trochę nieprzystojna.

— O Aleksandrze Wielkim i jego błaźnie?

— Odwieczna gawęda!

— O Marchołcie.

— Fe! fe! co nowego, co nowego.

— Cóż u licha znaleść wam nowego rzekł Stańczyk. Chyba wam opowiem bajkę którą dziś słyszałem od jednej starej baby, opowiadającej swemu piastunkowi.

— A o czem? odezwał się Kmita.

— Bajka warta mędrca — Mości wojewodo, bajka o kurce i kogutku. — Rzekłbyś słysząc ją że się wylęgła w mózgu Ezopa, tak mądra, a jednak słyszałem ją od starej baby.

— Mów ją, mów.

— Proszę tylko o cichość — żeby mi nie przerywano, rzekł Stańczyk — a W. Pasterska Mość niech pozwoli dać kubek wina, bo mi w gardle zaschnie nim ją dokończę, jeśli się czem odkrapiać nie będzie.

Podano wina, Stańczyk napił się, utarł gębę i wąsy, odkaszlnął, spojrzał po wszystkich i zaczął z uśmiechem i pozorną niedbałością *).

Bajka Stańczyka o kurce i kogutku.

Nie wiem gdzie i kiedy był sobie dawniej kogutek i kurka, oboje młodzi i piękni oboje; nie dziw też że się serdecznie kochali. A choć kogut tyle miał żon ile widział kur przed sobą, jednak na jakiś czas przywiązał się do tej tylko srokatej kurki. Piękna była kurka, ale jak nie jedna z kobiet, pokrywała ślicznemi połyskującemi piórkami brzydkie wewnątrz serce i duszę. Była ona tak żywa i płocha jakby dzisiejsza mieszczka, popędliwa jak wiele żon, głupia i szczebiotliwa jak

*) Bajka ta przerobiona z osnowy dochowującej się do dziś dnia w ustach nianiek i dzieci, dziwacznością swego układu zdaje się poświadczać dawność swoją, może ona zająć, jeśli ją zechcemy uważać jako odłamek podań ludu.

wiele dziewczyn które kwoczkami nazywamy, a co najwięcej żarłoczna i łakoma jak nieboszczyk Gamrat. — Zapomniałem że o zmarłych źle się mówić nie godzi, aleć to nie straszny grzech być obżartuchem. Spytajcie pana Reja z Nagłowic, wiele się mieści w jego brzuchu, a jednak człek filozof. Kogut starając się aby go polubiła, nie odstępował jej na krok, i cały dzień musiał znosić dla niej co tylko mógł do jedzenia znaleść gdzie i porwać smacznego. Głodniał i sechł biedny kogut z miłości i trudu, a kura tłuściała coraz okrąglej, szczebiotała coraz głośniej. Jednego pięknego ranka, kiedy słońce świeciło a niebo było czyste jak mój kubek teraz, poprosiła kurka koguta, aby jej towarzyszył do lasku na orzechy.

— Oho! przerwał Kmita z miną oznajmującą coś ważnego — musisz Waszmość wiedzieć że kury orzechów nie jedzą.

— A wy, panie wojewodo, zapomnieliście że to bajka — rzekł Stańczyk. Poszli więc mówię do lasu na orzechy. Jak przyszli do lasu, kogut wlazł na leszczynę, zaczął trząść drzewem i wiele natrząsł pięknych i dojrzałych orzechów.

Głodny był i sam chciał się także pożywić przy tem zdarzeniu, ale jejmość pani kurka co tylko upadło, chwytała prędko i łykała, łykała łakoma żeby się kogutowi nic nie zostało. A kogut trząsł ciągle sądząc że jak się naje, zostawi przecie na ziemi i dla niego kilka orzechów. Naprożno się nieborak mordował i potniał. Kura jadła i nic nie zostawiała. W tem orzech jeden większy gdy łykała trafiło się, że spiesznie chcąc go pozrzeć....

— Jak to? z łupiną? odezwał się Kmita.

— Tak! z łupiną, odpowiedział powoli błazen, w bajkach panie wojewodo kurom wszystko wolno i poetom. Gdy łykała, mówiłem, orzech uwiązł jej w gardle wązinchnem, zakrztusiła się, udławiła i padła o ziemię trzepiocząc skrzydełkami. Kogut piorunem zleciał z drzewa i przypadł do niej. Leżała bez duchu, wyciągnięte miała śliczne żółte nóżki i zdychać się zdawała. Żal chwycił koguta za serce, chciał ratować ją, nie można było inaczej jak wodą. — Wody nie było w lasku ani kropli, trzeba iść było do morza. Poczciwy kogut pobiegł do morza, biegł, biegł i przybył.

— Morze, morze, zawołał żałośliwym głosem przyszedłszy — daj wody!

— Komu wody? odezwało się morze zielone ogromnym głosem.

— Mojej kurce wody, kurka leży wedle drogi, ledwie tchnie.

— A w cóż ci dam wody?

— W co wody? odezwał się zafrasowany kogut, dalipan anim o tem pomyślał biegnąc.

— Tak to wy zawsze młokosy robicie, odezwało się morze, sami nie wiedząc czego wam potrzeba. Idź, poproś wieprza niech ci kła pożyczy, nabierzesz w kieł wody i zaniesiesz.

Kogut pobiegł znowu prędko. Przychodzi do wieprza. Wieprz wylegał się na barłogu do góry brzuchem, bo słońce świeciło mu i grzało, koguteк przybiegłszy ukłonił mu się po francusku i odezwał:

— Bądź Waszmość łaskaw pożyczyć mi kła na parę minut.

— Ja, kła? odezwał się wieprz ponuro mrucząc — ja, kła? ja, kła? Cóż to znowu? za co, na co, po co

ja mam Waszmości kła pożyczać? oto także!

— Ach, zmiłuj się, przerwał kogutek kłaniając się jeszcze niżej, — tylko sobie w nim wody przyniosę.

— Komu wody? odezwał się wieprz.

— Kurce wody, rzekł z westchnieniem przychodzień, kura, żona moja najukochańsza, leży udławiona orzechem, ledwie tchnie.

— A na cóż się było dławić? odezwał się wieprz; idź no wprzódy do dębu i przynieś mi żołędzi, bo ja darmo kła nie pożyczę.

— Ach! zmiłuj się.

— Nic darmo — odezwał się wieprz — nogi za pas, jeżeli chcesz mieć kieł, idź do dębu po żołędzie. Kogutek pobiegł prędko, prędko — przybiegł do dębu. Dąb szumiał sobie stojąc wśród lasu i nie widział nawet, patrząc się dumnie w niebo jak wojewoda, że jakieś małe stworzenie zbliżało się ku niemu.

Kogutek wskoczywszy na najbliższą gałąź, zaczął go prosić o żołędzie.

— Na co ci żołędzie? rzekł dąb.

— Oj! to bardzo długo gadać o tem, rzekł kogut, ale proszę o nie wiele, czy mi pożalujesz?

— Muszę naprzód wiedzieć na co ci ich potrzeba.

— Mnie spieszno, zawołał kogut, żona moja zdycha. Wieprz nie chce dać kła póki mu żołędzi nie przyniosę, a kieł potrzebny mi na wodę, którą chcę ją ocucić.

— Dam ci kilka żołędzi, odezwał się dąb, ale nic darmo — pójdź ztąd niedaleko do lipy i przynieś mi od niej łyk.

— A na co Waszmości łyka?

— A tobie co do tego, drobne stworzenie? ofuknął się dąb — tak chcę, i koniec!

Kogutek reszty nie słyszał, bo już był w drodze i zbliżał się do lipy.

Skoczył na gałęź i pokornie o łyka prosił.

Lipa była w złym humorze, wiatr jej w nocy ze złości gałęzie połamał, skrzywiwszy się więc odpowiedziała: — Na co ci łyka?

— Zmiłuj się nie pytaj o to, rzekł kogut, strasznie bym wiele rzeczy musiał ci tłumaczyć, a mnie tak pilno.

— Musisz wprzódy odpowiedzieć, odpowiedziała lipa, i kogut znowu zaczął swoją powieść.

— Kiedy tak, odezwała się lipa, uważam że nikt ci darmo nic nie daje — idź-że waszeć do krowy po mleko dla mnie, jeżeli chcesz łyk dostać.

— Na cóż Jejmości mleko?

— A dąb na co łyk potrzebuje — zawołała lipa, nic darmo, nic darmo!

Znowu leciał kogutek, prędko, prędko przez łąkę, przez płot, aż do obory w której stała krowa — depcząc pod nogami słomę.

Kogut siadł na żłobie i zaczął się kłaniać nisko.

— Prosiłbym o odrobinę mleka, rzekł cicho.

— Na co tobie mleka, wszak ty go nie pijesz? zapytała krowa.

Kogut rad nie rad musiał znowu opowiadać z końca w koniec całą swoją historją, drżąc aby się z pomocą kurze nie spóźnił.

— Nic darmo! zawołała krowa — przynieś mi wprzódy siana od kosarzy.

— Ach! na co ci to siano, zawołał kogutek, na co ci to siano — zaraz ci go pastuch przyniesie.

— Nic darmo, powtórzyła krowa, miałaćbym być

głupszą od innych i nie korzystać z tego zdarzenia? przynieś siana.

— Zkąd jej wziąść tego siana? pomyślał kogut i pobiegł zmordowany na łąkę. Na łące stali kosarze i kosili siano; kogut zbliżył się do pierwszego, prosząc o odrobinę siana.

— Na co ci siana? odezwał się kosarz stary.

Kogutek trzepiocząc skrzydełkami wymawiał się bardzo usilnie od opowiadania historji, bo widział, że co raz później się robi, że słońce połowę już drogi swojej ubiegło: ale nie było ratunku! Człowiek od innych stworzeń okrutniejszym był jeszcze i ze śmiechem szyderskim słuchał opowiadania koguta, a nareszcie się odezwał:

— Nic darmo, mój mały, idź do panny Małgorzaty, niech nam da sera, a my za to damy ci trochę siana.

Kogutek zaczął się kłaniać i prosić, żeby go już dalej nie posylano, kosarze śmiać się zaczęli — kogutek pobiegł do panny. — Panna szyła w krosnach gdy przybiegł, a koło niej siedział jakiś wysoki drab, który się jej uśmiechał; przyszedłszy ukłonił się i zaczął prosić o kawałek sera. Panna spojrzała na niego z politowaniem i uważając że był na pozór dość tlusty, prosiła go czy nie może pozwolić się zarznąć — on w płacz.

Tymczasem panna zapatrzywszy się na chłopca upuściła igiełkę, którą szyła, na ziemię.

Chłopiec schylił się szukać, ale nie mógł znaleść długo, bo schyliwszy się nie patrzał na igłę, ale na pannę Małgorzatę.

— Jeśli mi znajdziesz igiełkę, rzekła panna do koguta, dam ci sera — ale na co ci ser?

Kogutek nie śmiał się nawet wymawiać i znowu zaczął płaczliwie całą powieść opowiadać, a panna z chłopcem słuchając śmieli się do rospuku z jego miłości ku żonie i z jego frasunku.

Po długiej męce znalazł nareszcie kogut igłę i uradował jak gdyby go z rożna zdjęto. Panna dała kawałeczek sera, zaniósł ser kosarzom, dali mu siana. Siano zaniósł krowie, dała mu mleka, mleko zaniósł lipie, lipa dała łyka, łyko złożył u dębu dąb strząsnął kilka żołędzi, z żołędziami poszedł do wieprza po kieł. Leciał jak mógł nóżkami i skrzydłami, lecz już słońce zniżało się ku zachodowi. Wieprz kła pożyczył, przyszedł do morza, morze dało wody, i kogut trzepiocząc się i podskakując z niespokojności, pobiegł do leszczyny.

Przyszedł z wodą — ale kurka już nie żyła. —

— Otóż i moja bajka skończona, rzekł Stańczyk, bajka dziecinna, ale w niej jak w każdej innej jest trochę ukrytej prawdy. Widziemy w niej najprzód kobietę, jak wiele innych roztrzepaną, głupią i łakomą. — Potem widziemy człowieka który się dla niej jak mnóstwo ludzi głodzi, poci i pracuje — dla jednej kobiety z pięknemi skrzydełkami i buzią, która nie ma innej zasługi tylko że piękna — widziemy tu prawdę, wielką prawdę przyznaną na całym świecie — że nic darmo — moi panowie.

Łzy ani uśmiechu, politowania ani jałmużny — nic darmo! wszystko człowiek robi dla siebie nie dla drugich, z dumy lub dla wewnętrznego ukontentowania. Kochamy dla tego że kochanie nam jest miłe, płaczem nad drugiemi żeby się pochwalić że mamy łzy, żeby sobie prawo do cudzych łez po nas zamówić.

Dajem jałmużnę ażeby nas błogosławiono, jesteśmy

cnotliwi, jeżeli niemi jesteśmy, dla tego iż nas za to chwalą lub poważają, lub że nam to wewnętrzną czyni przyjemność.

Dzielemy się swoją radością żeby ją pomnożyć, dzielemy się smutkiem żeby go zmniejszyć, płaczem po umarłych, bo nam byli potrzebni.

Chrześcjan nie będąc samolubem nie może płakać tych którzy nie żyją. — Umarły godzien łez jest w niebie — na co mu nieba żałować? jeśli jest w piekle wart-że płaczu i żalu?

Tak! tak! płaczem nawet zmarłych nie darmo. W każdym człowieka uczynku, jeśli mu się zbliska przypatrzysz, spostrzeżesz tę prawdę, którąby dla sławy naszego imienia zataić było trzeba — że nic darmo!

I ja bym wam bajki nie mówił, gdyby mi pan Kmita nie zapłacił, ks. biskup nie dał wieczerzy, gdyby to mnie, równo jak Waszmościom przyjemności nie czyniło. — Nic darmo. Widziemy także w tej bajce chód cały sprawiedliwości i litości ludzkiej — o obie tak się trzeba dobijać jak kogutek o wodę, a często po mozolnym trudzie cudza rada przyjdzie za późno, sprawiedliwość pod wzniesiony miecz kata, litość do grobu. Wierzcie Waszmość temu, kogo nie wiem za co, chyba za mówienie prawdy, którą wy taicie, błaznem nazywacie, wierzcie mi że nie ma się co chlubić, żeśmy się ludźmi urodzili, ma człek rozum wyższy nad zwierzęcą zmyślność, lecz wiele tym rozumem źle użytym robi głupstw, których zwierzęta nie robią.

Memorandum że to co się mówiło, mówiło się ogólnie, a nikogo z osobna dotykać nie powinno. Teraz widzę czas już iść do wieczerzy. — *Sperate miseri, cavete felices!*

— Smutną nam bajkę, a przykrzejszy jeszcze jej wy-

kład, powiedziałeś panie Ezopie, rzekł biskup. Gdyby to prawda była, gdzież byś znalazł cnotę, gdyby to była prawda, jakżebyśmy śmieli jeden drugiemu spojrzeć w oczy. Jesteśmy więc wszyscy hipokrytami, albo bezwstydnymi być musim, jeżeli uznamy że tak jest.

— W. Pasterska Mość jesteś wyjątkiem, odpowiedział Stańczyk.

Biskup kiwnął głową.

— Gdyby się o to kto inny zapytał, czy śmiałbyś Stańczyku odmówić komukolwiek tego wyjątku? Smutna bajka!

Stańczyk się uśmiechnął.

— Nie zawsze też, rzekł, śmiech na zawołanie przychodzi. Szczęśliwy kto jak ja ze wszystkiego się śmieje, wszystkiem pogardza i niczego się nie boi!

— A śmierć, Stańczyku? zapytał Kmita z ciężkiem westchnieniem.

— I tego bać się nie warto, kiedy uniknąć nie można — rzekł błazen. Szczęśliwy niech się cieszy tem, że był szczęśliwym, nieszczęśliwy że się kończą jego nieszczęścia. Tymczasem — dodał, póki żyjem Mości panowie — trzeba jeść, idźmy do wieczerzy. Ze śmiechem potoczyli się wszyscy do stołu.

XII.

Trzecia bytność u króla.

Grzeszące strofuj przed wszystkiemi, aby i drudzy bojaźń mieli.
List Pawła Apostoła do Tymoteusza.
Rozdz. V w. 20.

Powiedzieliśmy, iż oznajmiono było od króla, aby popierający sprawę studentów, ks. Czarnkowski i świadkowie stawili się do niego dla ostatecznego rozeznania sprawy. W dniu następującym po wieczerzy u ks. biskupa Samuela posłuchanie to odbyć się miało. Jakoż godziną przed południem zgromadzili się wszyscy na zamku, świadkowie, obżałowani i uwięzieni słudzy. Odczytano naprzód to co rozeznawcy sprawy po pilnem jej roztrząśnieniu postanowili. Z tego pokazało się dowodnie, że zarzuty przeciwko samemu ks. Czarnkowskiemu płonne były. Nikt go bowiem nie widział, a godzina wyjścia jego od ks. Wojny późniejszą się pokazała od ukazania się postaci, za niego mianej, we drzwiach plebanii.

Miejsce i czas doskonale zgodzone zostały, powiada kronikarz, i posłużyły jedynie do wyjaśnienia niewin-

ności plebana. Lecz wszystkie te dowody nie przekonały jego przeciwników; bo cóż przekona tych, którzy uniesieni popędliwością raz wbiwszy sobie w głowę jak sądzić mają, nie słuchając przyczyn, przekonać się nie chcą, zatykają uszy na dowody, zamykają serce i duszę, byleby i na włos nie odstąpić od tego czego innym, prócz gniewu dowodem poprzeć nie mogą. Naprożno z pomiędzy nich samych starsi i rozważniejsi starali się reszcie okazać, jak dalece błądzili posądzając bezdowodnie tego, którego całe życie przeciwiło się zarzutom tak szkaradnym.

Widać było z twarzy i pierwszych słów króla, że mniemane jego przeciw plebanowi uprzedzenie ustało, a wykład sprawy wszystkich mu wprzódy przeciwnych nawrócił. Starał się król powagą swoją nakłonić młodzież, aby się dała przekonać, lecz mowa jego, głos biskupa i seniorów, którzy jak wiadomo szli jednak za ich stroną, żadnego nie zrobił wrażenia.

Upierali się zawsze przy pierwszem zdaniu swojem, nie dając nawet żadnych przezornych zasad swojej uporczywości. Ci, którzy od nich mówili, ośmielili się w obec króla obwiniać sędziów i biskupa, przypisując im zmowę z obwinionym i odgrażając się bezrozumnie, że jeśli ukaranym nie zostanie, wyjdą hurmem z Krakowa, opuszczą szkoły i gdzieindziej nauk, ojczyzny i sprawiedliwości szukać będą. Ani król jednak, ani nikt z przytomnych wierzyć nie chcieli, aby to ich postanowienie do skutku przyprowadzone być miało, sądząc, że nie tak łatwo im będzie ubogim i do miejsca przywykłym tak olbrzymiego zamiaru wykonać.

Widząc ku czemu się sprawa miała, niewierni świadkowie plebana lepiej już na jego stronę mówili.

Odzywał się król sam mięszając groźby i przyrzeczenie ukarania tych, którzy się winnemi okazali. Wszystko jednak naprożno — upor studentów na pochwałę zasłużyć nie mogąc, mocno jednak wszystkich zadziwił.

Jeszcze raz król głos zabrał:

— Pokazałem wam, rzekł, całą powolność moją, i chęć zaspokojenia żądań waszych. — Lecz zdaje się, że zły duch jakiś poduszcza was, abyście ani niczyich innych, ani moich uwag słuchać nie chcieli. Młodości tylko waszej i niedoświadczeniu przypisać musim upór w błędzie, i darować to, coście uraźliwego księdzu biskupowi powiedzieli. Ubogi i bogaty, znaczący i nikczemny równe u mnie mają prawo do sprawiedliwości. Uniewinnienie swoje nie znaczeniu i przyjaźni, lecz niewinności winien ks. Jędrzej. Dajcie się Waszmość raz przecie przekonać, będzie to z chlubą waszą, że się w zapalczywości upamiętać umiecie. Co się tycze sług, ci wedle prawa jako przekonani zabójcy przykładnie ukarani zostaną.

Ledwie tych słów król dokończył i powstał chcąc odchodzić, gdy się studenci z jednej strony sali, na której zgromadzeni byli, hurmem cisnąć ku niemu zaczęli.

— Jeszcze słów kilka chciej posłuchać Najjaśniejszy Panie, chciej baczyć na to, że bez powodu nie stalibyśmy uporczywie przy obwinieniu ks. Czarnkowskiego. Mniej to będzie kosztowna sprawiedliwość, jeśli dwóch nieznanych służalców zamożnego prałata pokutować będzie; lecz jeśli on sam ukaranym nie zostanie, my wyjdziem Najjaśn. Panie, tak, wyjdziem; prosim cię, błagamy na kolanach, chciej wejrzeć na łzy nasze i niewinną krew pobitych, sroższa będzie kara i więcej

dotknie osób, jesli ją Bogu zostawisz Najjaśn. Panie!

— Ależ bo Waszmość dziwnych rzeczy chcecie? odezwał się król z wyraźnem nieukontentowaniem. Byłażby to słuszna abym niewinnego ukarał dla tego, iżby Waszmościom dogodzić?

Kończąc te słowa odwrócił się i chciał wychodzić, a wtem cała sala zabrzmiała jednym głosem studentów:

— Pójdziem w świat! pójdziem w świat!

Król zawrócił się raz jeszcze, na twarzy jego znać było gniew i niecierpliwość.

— Nie macie mnie już za króla, zawołał, że się w mojej przytomności takich krzyków zuchwałych dopuszczacie? Wasze groźby co znaczą dla mnie, kiedy mnie nie zmiękczyły błagania? Możecie uniesieni gniewem myśleć o wyjściu, lecz nie ośmielicie się tego przeciw wyraźnej woli mojej dopełnić; a gdybyście nawet i wyszli, nie wielką bym stratę poniósł pozbywając się tak zuchwałych i nieposłusznych poddanych.

Znowu król odchodził, a na sali między studentami szmer już tylko głuchy dawał się słyszeć, śmielsi jeszcze odzywali się po kątach ponuro. — Pójdziem w świat!

Już po oddaleniu się króla zabrał głoś biskup Samuel, lecz jego słuchać nie chciano. Wśród szmeru, który słowa jego głuszył, ciżba studentów powoli z sali wypłynęła.

Po tem posłuchaniu wracając do domu biskup i ks. Czarnkowski spotykali wszędzie na drodze tłumy, które na nich głośno wyrzekały. Króla nawet w tych okrzykach ulicznych nie oszczędzano. Lud i mieszczanie, przyjaźni studentom a zawsze wierząc ich słowu, dopoma-

gali im do tego. Przez cały dzień słychać tylko było wszędzie narzekania i żale. Jedni ze studentów szli tłumnie modlić się i krzyczeć na grobie pobitych braci. Inni zachęcając wszystkich do wychodzenia z miasta, sami się do tego czynnie wybierali. Gdzie kto miał znajomych lub łaskawych szli żegnać przygotowując do drogi mały zapas wyżebranych żywności i rzeczy. Tam i ówdzie widać było przemykających się z garnkami, torbami, z miną niespokojną, zapalonem okiem, stukających do drzwi domu, żegnających się wśród miasta, lub śpiewających po ulicach smutne pieśni. Towarzyszyli im znajomi mieszczanie, których teraźniejsze ich położenie mocniej jeszcze do nich przywiązywało. Widząc ich płaczących i skarżących się, chętnie wierzyli w ich niedolę i ucisk, chętnie z niemi razem przeklinali sędziów i obwinionego.

Któżby albowiem łzom i żalom nie wierzył? choćby nie trafiły do rozumu, trafią do serca — osobliwie dziecinne, żale i łzy stworzeń słabych i bezbronnych, a przez to samo godnych politowania; żale wyrażające się z tym ogniem, z tą mocą i przekonaniem, z tą żywością właściwą żalom dziecinnym i kobiecym. Wszystko oznaczało że odgrażanie się w istocie mogło przyjść do skutku, lecz przykazano srogo seniorom i profesorom, ażeby, jeżeli dostrzegą w studentach chęć wyjścia, dołożyli ze swojej strony jak najusilniejszych starań aby ich odwieść od tego. Jakoż cała reszta dnia upłynęła na napominaniu ze strony seniorów a wrzasku i narzekaniu ze strony studentów. Około godziny nieszpornej ruch na ulicach miasta bardziej się jeszcze pomnożył, place, kościoły i ulice pełne były młodzieży żegnającej po raz ostatni znajome i ukochane miejsca. Cały Kra-

ków tem się tylko zaprzątał; widział to zarówno ks. Czarnkowski z okien plebanii i biskup Samuel z mieszkania swego na rogu Kanonicznej ulicy, naprzeciw którego najwięcej się studentów zbieralo do domku gdzie Lew na dole mieszkał. Przekonawszy się tak z tego co widział, jak z tego co mu donoszono, biskup o wyborach do wychodzenia studentów, pospieszył z wiadomością do króla.

Zygmunt August znajdował się razem z Barbarą u królowej Bony. Było to jedne z pierwszych odwiedzin młodej królowej, któremi August staral się przyprowadzić do pojednania matkę swoją z żoną. Lecz usiłowania te jak wiemy napróżno były — nie mógł znieść dumny Bony charakter, aby jedna poddanka śmiała stanąć między nią a synem, i wpływem swoim odebrać jej dawne pierwszeństwo i znaczenie.

Lękała się tego Bona, jak dziecko, które broni za zbliżeniem się obcego swoich zabawek, chociaż mu ich odbierać nie myślą. Łagodność Barbary, jej skromność, powolność, powinny były upewnić ją że się nie miała czego lękać. Biała, złotowłosa, niebiesko-oka Basia myślała tylko o sercu męża, o nowem swojem szczęściu, które ją z uścisków starego Gasztołda oddało młodemu ubóstwiającemu ją królowi, myślała o wszystkiem prócz władzy — nie miała dumy — miłość była jej życiem, była jeszcze młoda; lecz Bona z siebie o niej sądziła i lękała się.

Gdyby nawet miała władzę jaką, Barbara oddałaby ją chętnie całą, byle nią tylko okupić spokojność i ukończyć spory nieznośne z królową matką.

Gdy biskup wszedł, siedziała Bona w oknie, nie patrząc na syna i Barbarę, podparta na ręku, z brwią

zmarszczoną i przymrużonemi oczyma. Za nią stały kilka pań jej dworskich i ochmistrz jej dworu — ten między młotem i kowadłem, nie śmiał nic począć aby Bony nie rozgniewać, i lękał się znowu, aby mu jego milczenia król gniewny nie miał za złe.

Przy powitaniu widać było, jak niechętnem okiem poglądała Bona na biskupa Samuela, a gdy ten opowiadać królowi zaczął za czem przyszedł, słuchała go skrzywiona pogardliwie.

— W. K. Mość, synu mój — odezwała się gdy biskup skończył, powinienbyś wziąć przecie na uwagę, że oni słuszność mieć mogą.

Zygmunt August nieukontentowany już na matkę, z przyczyny zimnego jej obejścia się z Barbarą, powstał z siedzenia i rzekł:

— Wiem ja prócz tego co mam począć.

— Lecz — przerwała mu Bona, może ci fałszywie donoszą? Ten ksiądz mając przyjaciół w sędziach, łatwo ci się przez ich usta mógł czystym pokazać.

Widocznem było, że te kilka słów wyrzeczone tonem szyderskim, miały na celu upokorzenie biskupa. Uczuł to Maciejowski, nic nie odpowiedział, zimno i poważnie odwrócił się do króla i zapytał go o rozkazy.

— Idźcie i bądźcie spokojni, odpowiedział August, przykazaliśmy już mieć ich na oku, a wam tyle ufamy, że słuchać nawet nie chcemy, gdy wam kto zarzucać co ośmieli się.

Te słowa były choć nie prostą, lecz wyraźną odpowiedzią Bonie na jej pierwszą uwagę. Ona obróciła się znów do okna, potrząsając głową a król mówił dalej do biskupa:

— Widzieliście iżem się szczerze starał pogodzić to

wszystko, przykażcie tylko jeszcze aby seniorowie starali się szczerze upór ich pokonywać. — Wiem ja, że z tych wszystkich zapędów pewnie nic nie będzie.

— Jednakże, przerwał biskup — ja bym sądził, patrząc na ten ruch i krzątanie się ich, że jeśli się temu nie zapobieży gotowi swego dokonać.

— Próżne wasze strachy — rzekł król, młodzież łatwo się zapala jak słomiana strzecha, ale też prędko i gaśnie — upamiętają się oni i do nauk powrócą spokojni.

— Daj Boże — rzekł Maciejowski, pożądany by to był pokój, bo by i ze mnie niesłuszne podejrzenia zrzucił. Jeśli by co nowego zaszło, dodał żegnając króla, z oznajmieniem przyślę.

Nie spodziewam się, aby tego było potrzeba, rzekł król żegnając biskupa, a potem dodał: przywileje do waszej pieczęci chciejcie wygotować na jutro.

Bona kwaśno i niechętnie skinęła głową biskupowi, a Barbara ze zwykłą łagodnością rękę ku niemu wyciągnęła, król poważnie i przyjaźnie odprowadził go oczyma aż do drzwi.

XIII.

Kościół św. Franciszka.

Zwołują studentów do kościoła
S. Franciszka.
Orzechowski.

Z rana dnia następnego rozeszła się wieść po Krakowie, iż studenci zebrawszy już co kto mógł, natychmiast wyruszyć myślą. Jakoż okazywał się jawnie ten nie tajony ich zamiar, bo ulice pełne ich były wszędzie z garnkami, torbami, z kijmi wyłamanemi na drogę, z żalem w sercu, z narzekaniem na ustach żegnali znajomych i żebrali jałmużny tem usilniej, że jej na długą i niepewną podróż wielce potrzebowali.

W kościołach, w domach pełno ich było, a na ulicy Kanonicznej i przy bursie WW. Świętych zbierały się tłumy, aby razem ztamtąd wyruszyć. Widząc te niechybne przygotowania do drogi, ks. Samuel nie posyłał nikogo, lecz sam poszedł znowu do króla z oznajmieniem.

Jak skoro wszedł do osobnej komnaty a nim usta otworzył, już się król żywo odezwał:

— Wiem, księże biskupie co mi masz powiedzieć — studenci wychodzą.

— Przynajmniej skutecznie biorą się do drogi.

— Uparta młodzież! zawołał król. — Rady z niemi dać sobie trudno; gdybyć so starsi zrobili, znalazłbym na to inny sposób, lecz z młodemi nadewszystko powoli trzeba i łagodnie.

— Cóż kiedy powolność i łagodność nic nie nada?

— Ufam że się to jeszcze wszystko zagodzi.

W tej chwili posłałem po pana Tarnowskiego, a że tu niedaleko szczęściem bawi na wsi, prędko przybędzie. Jego i wasza księże biskupie wymowa ułagodzi wrzące umysły.

— Sobie nie śmiem pochlebiać Najjaśniejszy Panie — straciłem bowiem, jeżeli jaką miałem władzę nad ich umysłem, przez to, że mnie o zmowę z obwinionym księdzem Czarnkowskim posądzają, kasztelan prędzej co wymoże.

— Zapewne, odpowiedział król, lecz wy, jako szkół obrońca i protektor, potrzebni tu jesteście koniecznie. Tymczasem nim ujrzym pana Tarnowskiego, posłać kogoś trzeba odemnie, aby się zebrali do kościoła św. Franciszka, niepodobna albowiem dla natłoku pospólstwa mieć z niemi rzecz na ulicy.

— Ja pójść mogę Najjaśn. Panie?

— Nie, nie! odpowiedział król, ani wiek, ani godność wasza nie dozwalają, abyście i tak już tą sprawą utrudzeni, mieli sobie dla nierozumnych młokosów tyle zadawać mozołu. Jest tu pan Lasota podobno, niechaj idzie ku nim.

Potem obróciwszy się do służbowego pokojowca, który stał u drzwi, rzekł:

— Panie Kostka, idź powiedz odemnie Lasocie, aby poszedł niemieszkając ku studentom i rozkazał im

odemnie wszystkim zgromadzić się do kościoła św. Franciszka. Niech tam czekają na przybycie biskupa i tego kogo im tam przyszlę od siebie.

Pokojowiec wyszedł.

— Ja, rzekł król, gotowem sam udać się do nich.

— To być nie może Najjaśn. Panie, przerwał biskup, nadęłaby się w pychę młodzież, widząc że ku nim sam wychodzisz Najjaśn. Panie. Śmiało by naówczas najdzikszych rzeczy domagać się mogli. Nie trzeba im obliczności twej Najjaśn. Panie pokazywać i powiedzieć, żeś najmocniej rozgniewany za ich zuchwalstwo.

— Zdaję się na waszą radę, księże biskupie, lecz pozwólcie mi przynajmniej, abym ukryty na chórze mógł być świadkiem wszystkiego.

— To od woli Waszej Król. Mości zależeć będzie, rzekł biskup — byle tylko pan Tarnowski niebawem przybył.

— Za chwilę go tu zobaczym, odpowiedział August, wiecie że wieś jego ledwie o pół mili ztąd oddalona a odmówić swego przybycia nie zechce. Jużby nawet być powinien, lub za lada chwilę.

Potem król przechodził się po komnacie i coraz wysyłał pokojowców dowiadywać się o przybycie kasztelana.

Po półgodzinnem oczekiwaniu wszedł do komnaty Tarnowski i natychmiast uwiadomiony o wszystkiem od króla, razem z biskupem udał się do kościoła. Król tymczasem w krytej lektyce uboczną drogą nieść się kazał do tegoż miejsca, a przybywszy witany pokornie od księży usiadł w chórze poza wielkim ołtarzem, zkąd za kratą nie poznany mógł wszystko widzieć i słyszeć co się dziać miało.

Kościół pełen był studentów i ciekawych, którzy mimo ciżby jeszcze się do drzwi kościelnych cisnęli. Stali na przodzie seniorowie, a w tyle po kaplicach, w ławach kościelnych, w najmniejszych zakątkach pełno było studentów.

Przybywszy biskup wszedł do stalii po prawej ręce ołtarza, a ksiądz Przerębski, ubrany w komżę i stułę, wyszedł z dwoma chłopcami zakrystyjnemi ku wielkiemu ołtarzowi, i tam odkrywszy puszkę z św. sakramentem zaintonował *Veni Creator*, na któren dawniej tak huczna ciżba studentów, dziś odpowiadać nie chciała i stała w ponurem milczeniu.

Po ukończeniu tego pierwszego obrzędu ukazał się na ambonie Jan Tarnowski, poważny starzec, wymowny, łagodny, wzięty u wszystkich — i natychmiast do studentów rzecz zaczął.

Mowa Tarnowskiego, ugruntowana na znajomości ludzi, przynajmniej na głównych jej rysach, zręcznie raz pochlebiając młodzieży, to znowu ją gromiąca, słuchana była nadspodziewanie cierpliwie, i zdawało się, mówi kronikarz, że ich powoli zmiękczać zaczęła. W niej namawiał ich kasztelan aby uporu poprzestali, i upominał aby się takich rzeczy dopuszczać nie śmieli, któremiby wspaniałość królewska obrazić się mogła. Okazywał im, że zabójstwo płazem puszczone być nie może, że winni siedzą i przykładnie ukarani zostaną, że na wszystko trzeba czasu i rozwagi, a w takiej rzeczy inaczej jak wedle prawa postąpić sobie nie można.

Tymczasem zaś, powiadał, uspokoić się potrzeba pomnieć po do tu do Krakowa przybyli, lub przysłani od krewnych i powinowatych zostali — to jest dla

nauk — a czasu marno na rozterkach nie trawić. Tak zręcznie wywyższając ich w umyśle własnym, i natychmiast władzy, którą nad niemi sobie jednał, na łagodzenie ich zażywając, zdawał się już nakłaniać do spokojności Tarnowski, i jeszcze raz kończąc przypominaniem kary zabójców, zszedł z ambony, a ciżba w cichości stała i niepewna wahająca się umilkła.

Lecz zaledwie zszedł Tarnowski, biskup Samuel wstąpił na kazalnicę i szmer głośniejszy po kątach kościoła dał się słyszeć natychmiast. Czekali jednak cierpliwie póki mówić nie zacznie.

Przywykły do oratorskiego sposobu mówienia, któren wyssał od nauczyciela retoryki padewskiego Romulussa Amuzeusa, biskup gorliwy czciciel mów Cicerona i figur krasomowskich, przemówił do studentów zupełnie nie w ten sposób, jak do nich mówić należało. Bo z początku samego mowy, chcąc ich poruszyć i ucha nakłonić ku sobie, opisywać zaczął zabójstwo, przypomniał im krew pobitych niewinnie, uniósł się zapałem i tak dalece ten obraz silnie i dotkliwie odmalował, że młodzież uderzona nim, przypomniawszy sobie całą okropność występku, zażalona, poruszona, końca nawet pięknej mowy dosłuchać nie mogła. Szmer coraz stawał się głośniejszy, a nakoniec gdy ich żal za serce ścisnął, nie zważając na świętość miejsca, jednym głosem po szkolnemu wykrzyknęli:

— Do domu! do domu!

Ten odgłos właśnie zniszczył nagle to, co była mowa łagodna Tarnowskiego zrobiła, i niesłuchając już całe reszty, sypać się hurmem z kościoła poczęli, powtarzając jedni — do domu! drudzy — w świat!

Widząc biskup że już ciżba odpływa, i że w hałasie

powszechnym nie da się im zrozumieć, rzucił ostatni raz okiem na uciekającą młodzież, i przyklęknąwszy przed wielkim ołtarzem zszedł z ambony.

Król tymczasem za kratą świadkiem będąc wszystkiego, z natury żywy, niecierpliwił się widząc jak prędko zniszczonem zostało wrażenie mowy Tarnowskiego, i w zapale swoim już by był pewno sam wyszedł ku młodzieży, gdyby nagle ustępować hurmem z kościoła nie zaczęła, tak że wkrótce biskup tylko i kasztelan w nim pozostali.

Ci udali się do króla, który niechcąc nic biskupowi powiedzieć, miał jednak minę niechętną i zamyśloną; nie słuchając próśb księży i przełożonego, który gnąc się do samej ziemi i sypiąc łaciną, do refektarza na posiłek go klasztorny zapraszał, powrócił do zamku

Studenci tymczasem rozsypawszy się po mieście, widząc że za późno było i chcąc kilka godzin jeszcze w miłym pozostać Krakowie, odejście na dzień następny odłożyli. Pozostająca reszta dnia użyta jeszcze była od seniorów z rozkazu króla do wstrzymywania ich w mieście, chociaż sądząc ze złego skutku pierwszych usiłowań, mało się i po tych spodziewać było można.

Widać było tego dnia tłumy gromadzące się około mowców, zabierających głos wśród ulicy i uciekające przed ukończeniem pierzchliwie ze swoim krzykiem: w świat!

Pożegnania tylko, krzyki i narzekania słychać i widać było wszędzie, cały Kraków ciekawy końca, gromadził się około studentów i do późnej nocy napełniał ulice.

XIV.

Wyjście.

Komu w drogę, temu czas.

Bardzo tedy rano, jak jeno świt, wstawają, wspólnie się z sobą umawiają i w drogę gotują, mówi kronikarz.

Pospólstwo i mieszczanie dla przypatrzenia się temu osobliwemu widokowi obudzili się równo z nimi, chcąc ich pożegnać także, opatrzyć i wyprowadzić oczyma, póki oko zajrzeć może.

Nastąpiły z obu stron ostatnie odwiedziny mieszczan przyjaźnych, pokrewnych, znajomych, do których gdy każdy z płaczem przychodził witał i żegnał; — pytano ich gdzieby szli, a nikt odpowiedzieć inaczej nie umiał tylko — pójdziem w świat, pójdziem gdzie nas oczy poprowadzą. Żal było patrząc na nich i widząc połowę między niemi dzieci słabych, małych, wynędzniałych, puszczających się tak na ręce losu, usiłował każdy przynajmniej kilku, bo wszystkich było niepodobna — namówić do pozostania w Krakowie. Ale naprożno — gdyż wspólną naradą i postanowieniem tak sobie myśl

tę wbili, a żal przytomnych tyle im dodawał dumy, że niechcąc utracić nagle prawa do litości i zajęcia powszechnego, odpowiadali na namowy i przekonywania:

— Pójdziem w świat! pójdziem w świat!

Starano im się pokazać nędzę która ich czekała, powiadano im, że bez grosza, ubodzy i znużeni, może na drodze kawałka chleba nie dostaną. — Oni smutnie kiwając głową odpowiadali: — Znajdą się litościwi. — Bóg nas nie opuści!

Po długiem wybieraniu, gdy nałogiem i przywiązaniem do osób i miejsc ciągnieni, po kilkakroć je żegnając, oddzielić się i oderwać od nich na zawsze nie mogli, dali nareszcie starsi z nich znak wyruszenia i cała gromada posunęła się ulicami Krakowa ku Kleparzowi, nucąc pieśń uroczystą:

— Idźcie na cały świat!

Pieśń ta bez wątpienia w XVI. wieku znajomą być musiała, bo Orzechowski pisząc o niej, cytuje ją jako znajomą; lecz nam z żalem wyznać należy, że mimo szczerego starania, tego ciekawego zabytku nigdzieśmy między zapyłonemi szpargałami przeszłych wieków znaleść nie mogli i za złe mamy naszemu kronikarzowi, że jej całej nie wypisał. Nie jeden z dzisiejszych czytelników, razem z nami, byłby zdania, że lepiej było umieścić w kronice tę piosenkę, niżeli dwie lub trzy długie mowy panów kasztelanów i wojewodów, którzy rozprawiali poważnie o pomyślności krajowej i formie rządu z ksiąg Cycerona i Rzeczypospolitej Platonowej, a sami stawali zawsze na przeszkodzie najlepszym zamysłom monarchów.

Dźwięki tej pieśni i gwar tłumu budziły tych którzy spali, a do okien i drzwi wzywały pobudzonych już,

każdy cisnął się ich zobaczyć, rzucano im po drodze pieniądze, chleb i żywność, żegnano znajomych, a panie mieszczki z bram domów kiwając smutnie głową, poglądały za niemi długo, ocierając oczy fartuchem.

— „Pełne było miasto narzekania i płaczu, powiada nasz kronikarz, uczciwi nawet mieszczanie, białogłowy i ludzie przystojni po przyjaźni i zachowaniu uboższym na drogę dawali, których z tłómoczkami, torbami i owemi garczkami, z któremi pożywienia żebrali, pełno idących po drogach, napatrzyć się było (można)."

„Dawniejsi się zbywają, mówi tenże dalej, że nic żałośniejszego za ludzkiej pamięci nie trafiło się w Polsce. Ucichły szkoły, w żalu zostały kollegia, umilkły kościoły i świątnice i wszystkie miasta strony trapiły się na ich odejście. I jeden bowiem może z tego mnóstwa nie pozostał, coby albo w kościele kapłanowi do mszy posłużył, albo w akademii i szkołach pod nauczycielem czego słuchał."

Trzeba przyznać, że w istocie pusto się musiało wydać miastu, kiedy tego ranka nie ujrzało po ulicach swoich snującego się gwarnie wesoło tłumu młodzieży. W owym wieku, który się mógł jeszcze szczątkiem dawnej pochlubić prostoty, żal być musiał każdemu jak własnych, tych dzieci puszczonych po świecie bez obrony i pomocy, żal być musiał profesorom kiedy ujrzeli puste ławy przed sobą, im co tak nałogowie przywiązują się do uczniów — żal być musiał księdzu kiedy wyszedł ze mszą do ludu i stary dziad posługiwał mu do niej kulejąc zamiast dwóch rzeskich chłopaków i licznego tłumu, któren dawniej za nim spiewał. Przeniósłszy się na miejsce i położenie tych osób, nie będziem się dziwować, że kronikarz tak żałośliwie nad

tym dniem ubolewa.

Z Krakowa wyszli wszyscy ze świtem i udali się na Kleparz. Tu zastanowił ich kościół św. Florjana otwarty jak zawsze dla mszy ranną porą bywa; a gdy kilku z nich wszedłszy do niego ujrzeli księdza przed ołtarz na primarją wychodzącego, zaproponowali reszcie swoich aby się w drogę Bogu uroczyście polecić — i wszyscy wsypali się do kościoła.

Gorliwe tam modły być musiały, bo nigdy się szczerzej nie modlim do nieba, jak kiedy prosim go o co; nawet w dziękczynieniach mniej jest zapału i szczerości. Z wielką tedy gorącością wysłuchawszy mszy świętej, prześpiewali znajomą pieśń:

Duch święty napełnił okrąg ziemi, — od której cały się kościół rozlegał. Potem jakby jedną myślą poruszeni, ze łzami, których sami nie wiedzieli przyczyny, padli wszyscy krzyżem na ziemię i wykrzyknęli razem:

Skrusz panie potęgę nieprzyjaciół kościoła twego.

Chwilę tam jeszcze pobywszy, a widząc że się czerwone i mgliste jesienne słońce ku górze podnosi, wyszli płacząc tem boleśniej, że już znajomych stracili z oczu, że nikt z niemi łez nie dzielił i postrzegli pierwszy raz że są sami, sami jedni, na świecie!

A przed sobą widzieli pola i góry puste i ludzi, którzy przechodzili mimo nie troszcząc się o nich, widzieli zwierzęta i ptaki przelatujące koło nich, niepatrząc nawet na nich, na nich co tak usilnie żebrali litości u każdego stworzenia.

Potem spojrzeli na wieże Krakowa, dachy jego domów, krzyże jego kościołów i wspomnieli wzdychając, że kiedyś spoczywali pod temi dachami, modlili się w tych kościołach, nie przewidując przyszłego swego losu.

Stały patrząc na miasto biedne dzieci, a każdy z osobna byłby wszystko oddał, gdyby mógł z niebezpiecznej rozpoczętej pielgrzymki wrócić do dawnej nędzy i życia, do spokojnych sal szkolnych, do kościołów gdzie śpiewali, lub spór wiedli o służbę do mszy. O! jak chcieli wracać a jednak nie mogli, bo każdy myślał o powrocie i każdy ciągnął swego towarzysza dalej a dalej do podróży. Pierwszy krok był zrobiony, wstyd powracać było.

Więc jedni dla dodania sobie serca zaczęli nucić wesołe pieśni studenckie — one im dawny pokój i życie przypominały, inni opowiadali baśnie, z któremi razem szło wspomnienie że się ich w Krakowie nauczyli. — W tej chwili jedyną ich myślą był ten Kraków — a jednak szli, szli coraz dalej niewiedząc gdzie idą, szli oglądając się za siebie i lękając się coraz, aby gdy się obejrzą, nie przestali widzieć już tych wież, tych dachów, aby im mgła nie zasłoniła, góry nie porwały z oczu Krakowa. Potem pomyślał każdy, kto miał jaki kąt i krewnych, aby pójść do nich i zaczęli się tłumami umawiać, gdzie iść w którą stronę mają. — Nie rozdzielali się jednak w pierwszej chwili żalu, gdyby jedni drugich jeszcze utracili, jakżeby to znieść mogli? Szli więc razem. Szli coraz dalej przez góry, przez lasy gdzie ich niosły oczy, szli w świat, prawdziwie w świat, bo nie wiedzieli dokąd szli i na jak długo.

Wiele lat minie, nim drugi raz świat ujrzy wędrówkę podobną, wędrówkę zapłakanych dzieci, bez żywności i grosza, bez celu, w której nikt nie pyta o drogę, o miejsce, idą i idą. Tak przynajmniej szły dzieci dzień pierwszy i drugi.

Niewiele uszli do południa, a już nogi nie przywy-

kłe do dłuższej wędrówki, jak z ulicy na ulicę, ustały, już słabsi i mniejsi niemogąc zdążyć, płacząc w tyle zostawać się poczynali.

Wszyscy na pierwszy odpoczynek po wyjściu zatrzymać się musieli. Tu co kto miał wydobył zapasów, i usiadłszy na ziemi rozprawując o swym losie, dzielić się i częstować nawzajem poczęli. Nie patrzali na dalej, przywykli do nędzy, póki w swych torbach widzieli chleba kawałek, marzyli że im niczego nie zabraknie.

Kiedy ustało dokuczające znużenie i głód, każdy nic nie mówiąc obejrzał się w około, po okolicznych pagórkach i zaroślach, po wydmach piasku, po rozchodzących się w około drogach i westchnął niewidząc celu podróży, u której był samego początku.

W dalszej drodze ku wieczorowi spotykali wieśniaków wracających z Krakowa. Niektórzy z nich słabszych zgodzili się podwieść trochę, inni ubolewając nad niemi przejeżdżali mimo. Każdy patrząc na nich, przypomniał sobie, że oni wracali do domu, do swoich, a ów musiał iść, jeszcze iść i często niemając kąta, rodziny, szukać jej musiał. — Szczęśliwym nazywali tego, kto się spodziewał że go ktoś gdzieś przyjmie, przywita i utuli.

Wieczorem stanęli około wioski małej i rozłożyli się noclegować w stodołach wieśniaczych i żydowskiej gospodzie. — We śnie zdawało im się nawet że nogi utrudzone ruchem dnia całego, szły i poruszały się jeszcze.

Nad rankiem pobudziwszy się ze snu, posiłkiem pokrzepieni, wyruszyli znowu dalej.

Dzień był piękny, słońce z za mgły świeciło, szli

jedni mówiąc modlitwy poranne, inni pieśni nabożne śpiewając, inni rozprawiając o swoich nadziejach, inni nareszcie z niedbałością wiekowi swemu właściwą śmiejąc się i żartując.

Naprożno niektórzy jeszcze zawracali głowy, aby Kraków zobaczyć, dawno już widać nie było ani jego wież i bram czarnych, ani krzyżów kościelnych, ani dachów gościnnych pod któremi spoczywali, oczy ich nawet, obiegając w około górami obmurowany widnokrąg, nie wiedziały w której stronie szukać myślami ulubionego miasta.

Tak szli, gdy przed południem tumany kurzu ukazały się szybko za niemi posuwające na drodze. Zdawało się nawet, że wśród nich powiewały czasem białe chustki i wiatr donosił do ucha wędrowców jakieś krzyki. Droga rozdzielała się na trzy strony, patrzali, nie pojechali ani w prawo, ani w lewo, lecz ciągle ku nim, coraz bliżej i machali na nich białemi chustkami i krzyczeli.

Ten i ów obejrzał się, zaczęto szeptać, zastanawiać się, domyślać, niektórzy nawet zatrzymali się.

XV.

Spotkanie.

Gdy się ku nim coraz tuman drogą przybliżał, ujrzeli wkrótce wśród pylu postacie kolas, wozów i jeźdźców, którzy obok nich pędzili. Rozeznali nakoniec z niemałem podziwieniem na niektórych ubiór i barwę straży królewskiej i miejskiej, tych jednak, którzy w kolasach siedzieli, nie widzieli jeszcze.

Za kilka chwil kalwakata dognała ich i stanąwszy w pośrodku zatrzymała się nagle, a z jednej kolasy zawołał głos silny: Stójcie!

Naówczas postrzegli dopiero ubiory księże wyglądające z powozów i kilka czapek bogatych z piórami. Stanęli wszyscy otaczając przybylych i cisnąc się jedni po przed drugich ciekawie, aby ich zobaczyć. Bliżej stojący poznali w pierwszej kolasie księdza Przerębskiego, a w dalszych kilka osób królewskiego dworu, na koniach siedzieli dworzanie i draby ze straży przybocznej króla.

Strach przejął bezbronnych na widok błyszczącego oręża wąsaczów, którzy wśród nich jak z nieba spadli,

spojrzeli po sobie, nie wiedzieli co począć i stali. Wnet w kolasach i wozach zaczęły się ruszać rozmaite osoby, a po chwili rozmowy między sobą powstał wyżej nad innych ks. Przerębski i machnąwszy ręką, zawołał:

— Słuchajcie! Potem obejrzał się i głośno krzycząc zaczął mówić następnie:

— Mości panowie! Znajduję Waszmościów nie tam wcale, gdziebyście posłuszeństwem i wolą rodziców być powinni. O kilka mil od Krakowa? ci, którzy go ani na chwilę nie powinni byli opuszczać? ci, którzy drogiego czasu, niezwróconego czasu młodości, nie na wędrówki krnąbrne, lecz na naukę używać by powinni? Dziwi to nie pomału mnie i wszystkich, a są tacy co płaczą nad waszem zaślepieniem, że się bezrozumnie puszczacie sami niewiedząc dokąd. Król i pan nasz wielce za ten zuchwały postępek rozgniewany, daje jeszcze Waszmościom chwilę namysłu i przebaczenie obiecuje, jeżeli powrócicie.

— Nie chcemy! nie chcemy! krzyknęli wszyscy.

— Jedź sobie do króla, dodał jeden z bliżej stojących, i powiedz mu od nas, że kiedy nie dał sprawiedliwości, nie powinien wymagać abyśmy tam siedzieli, gdzie nas lada dzień wybić mogą bezkarnie do reszty!

— Cicho! zawołał ks. Przerębski, cicho! i dalej rzecz zaczął prowadzić, a w około szmer, szepty i głośniejsze rozmowy ciągle mu przerywały.

— Nikt zapewne z Waszmościów, dodał ów podnosząc głos, nie pomyślał o skutkach tego nierozmyślnego kroku, bo ktoby temu choć chwilę poświęcił, pozostałby pewno na miejscu. Idziecie Waszmoście Bóg wie gdzie, bez przewodników i pieniędzy, ufając zapewne litości ludzkiej; lecz powinniście wiedzieć, że kto by chciał

uczynić litość jednemu, kilkuset jej zrobić nie potrafi. Powtóre, spuszczając się na jałmużnę ludzką łatwo pomrzecie z głodu, bo mało jest litościwych. Potrzecie, jeżeli wbrew rozkazom rodziców lub powinowatych postąpicie tak sobie, oni wielu z was bardzo nie zechcą pewno przyjąć do domu, widząc wasze tak zuchwałe już w tak młodym wieku postępowanie. Ściągniecie Waszmość na siebie gniew rodziców i powinowatych, gniew króla i gniew Boga, który przykazuje darować winy, nie mścić się ich. Znacie Waszmość ewanjelją Chrystusa Pana o policzku i sukni, ona wam pokazuje, że chociażby winien był ten kogo obwiniacie, darować mu byłoby najlepiej. Oto z rozkazu króla oznajmujem Waszmościom, że wolno wam dziś jeszcze powrócić, że kto wróci za posłusznego i uczciwego miany będzie, a reszta za krnąbrnych i zuchwałych, że raz ostatni przyobiecuje król i pan nasz łaskawy wymierzyć wam sprawiedliwość.

— Na ks. Czarnkowskiego? podchwycił bliżej stojący student, a za nim prawie wszyscy krzyknęli toż samo.

— Nie — gdyż ten niewinnym się okazał — odpowiedział ks. Przerębski, ale na sługach jego i słudze pana Wojny, którzy uwięzieni są i czekają wyroku.

— Niech ukarze księdza Czarnkowskiego odjęciem kapłaństwa i życia, zawołał student, a my powrócim!

— To być nie może! — odpowiedział głos z drugiej kolasy — chcecież żeby dla waszej uporczywości niewinni pokutowali?

Wrzawa niezrozumiana w tłumie odpowiedziała na te słowa, potem nastąpiło milczenie, potem studenci zdawali się pilnie spierać między sobą.

Lew Maciejowski, który od początku drogi sercem

chciał wrócić do miasta i wzdychał oglądając się za siebie, pierwszy podniósł głos między swemi i zaczął ich nakłaniać do powrotu; lecz zaledwie z kilku słów jego zrozumieć było można do czego zmierza, krzyknęli studenci i mówić mu nie dali. Było jednakże i więcej takich, którzy z nim razem myśleli tylko jakby nazad powrócić, lecz nieśmieli i lękliwi odezwać się bali z takim wnioskiem wsród tłumu inaczej myślącego.

Kiedy się zaś Lew odezwał, ośmieleni tem zaczęli się jednomyślący cisnąć ku niemu, i gdy jedni łajali go, grożąc mu, drudzy powoli obronę jego brać zaczęli. Ci którzy od króla przysłani zostali, w powszechnym krzyku nie mogli dać się słyszeć. Studenci zaś, nie zwracając na nich uwagi, zajęci byli sporem między sobą i dzielili się na dwie strony.

Jedna z Maciejowskim utrzymywała, że najlepiej było powrócić do Krakowa, druga przypisując niestałość w zamiarach, lekkomyślność i przekupstwo wnioskującym, spierała się, aby wszyscy szli dalej. Łatwo poznali przybysze o co rzecz chodziła, i ks. Przerębski wysiadłszy z woza z dwomą drabami dla bezpieczeństwa posunął się na miejsce, gdzie się gromadzili wszyscy i krzyczeli, chcąc powagą swoją i wymową poprzeć tę stronę, która za powrotem do miasta trzymała. Docisnąwszy się z trudnością w pośrodek nich postrzegł dopiero, że szedł naprożno — krzyk powszechny głuszył jego słowa tak, że sam siebie słyszeć nie mógł — cóż dopiero inni? — popychano go zewsząd — szturchano — ustąpić musiał i czekać.

Sprzeczka coraz żwawsza się stawała, lecz jak się każdy domyśla, na słowach między wrzącą młodzieżą, której nikt nie hamował, skończyć się nie mogło. Bliżsi

wyrzuciwszy na się wzajemnie wszystkie obelgi i przekleństwa jakich ich pobyt w mieście wyuczył, porwali się do siebie, a że ci którzy chcieli powracać w bardzo małej liczbie byli, a reszta zajadle następowała na nich, Lew Maciejowski wołać zaczął nakoniec do przybyłych o pomoc.

Draby i straż ile ich było posunęli się w tłum, Lew rzucił się do nich — wrzaski, kamienie, piasek i błoto poleciały na małą liczbę tych którzy poszli za nim; ale to nic nie pomogło, nim się wszyscy około żołdaków zgromadzili, przybywało coraz z wielkiej gromady do małej po kilku chcących powrócić do miasta.

Ks. Przerębski poprowadził ich ku wozom, a reszta zagrożona szablami ustąpić musiała, miotając przekleństwa na Lwa, który z zapalonem okiem, cały w błocie, w poszarpanem odzieniu, bez czapki, drżąc od gniewu szedł za wozem, a za nim kilkadziesiąt słabych, małych, chorych, zapłakanych bębnów i drągalów wysmukłych, którym pobyt w mieście i przyjaźń pań mieszczek krakowskich smakowały. Reszta tłumu rzucając z daleka kamieniami i przekleństwami, które po nad głowami pozostałym przelatywały, szła szybko drogą — dalej a dalej.

Przybywszy do Krakowa, opowiedział ks. Przerębski królowi, iż małą tylko liczbę na drugim dniu podróży dogoniwszy, zawrócił i natychmiast po szkołach i akademii, choć dla małej liczby słuchaczów, dawne się kursa rozpoczęły.

Liczniejsza część druga poszła drogą dalej, poszła przed siebie w świat, nieznając świata, żebrząc po drodze, nocując na zimnie i deszczu pod gołem niebem, patrząc na mijające około siebie pola, góry, lasy, ludzi

i zwierzęta, widząc za późno jak mało kto o nich dbał, jak mało kto ulitował się nad niemi. — Wracać nie chcieli, nadto byli dumni, i szli, szli, szli ciągle niewiedząc dokąd i po co idą. Niektórzy starsi wrócili do domów i w nich pozostali, inni kąt rodzinny odwiedziwszy, poszli w obce kraje, inni podzieliwszy się na gromady i idąc ciągle znaleźli się prawie o tem niewiedząc za granicą. Tam rozsypując się ciągle i dzieląc, różnemi sposoby zarabiali na życie biedne sieroty, a nie jeden przeklinał, nie jeden błogosławił dzień wyjścia swego z Krakowa.

Dziwna rzecz iż roztropni nawet kronikarze utrzymywali, jakoby to wyjście studentów krakowskich było jedną z przyczyn późniejszego rozszerzenia się różnych sekt religijnych w Polsce, gdy niektórzy potem zarażeni herezją nazad wrócili i rozsiewali ją. Gdyby nawet tak było, skutek zaledwie mógł być znaczny; ale zkądinąd wiemy, jak, jakiemi drogi, z jakich powodów reforma zasiała się w Polsce. — Biednych więc wychodźców o to posądzać nie można, i podanie kronikarzy (Orzechowskiego, powtórzone przez Hartknocha i innych) na żadną nie zasługuje uwagę.

Opisaliśmy ten wypadek jako jeden z najlepiej malujących usposobienia młodzieży w XVI. wieku. Któż w tych wrzących studentach nie pozna późniejszych silnych podpór anarchii, swawolnej szlachty niedającej się nigdy przekonać, zawsze upartej przy swojem i święcącej dumnemu uporowi, nawet częstokroć własne zapóźno przychodzące przekonanie wewnętrzne.

KONIEC.